



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 6 listopada 1955 r.

Nr 45 (293) Rok VI

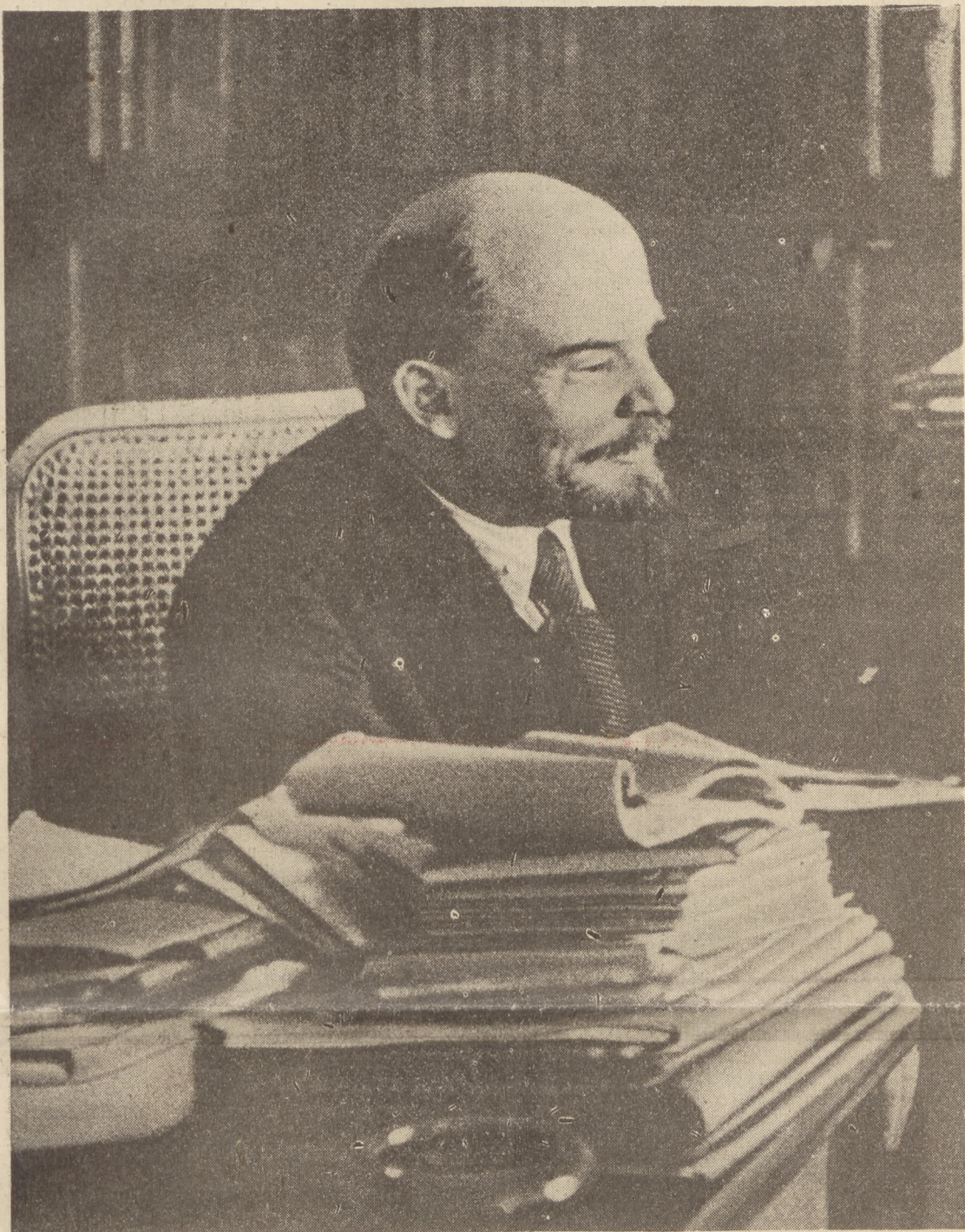
HELENA BOBIŃSKA

MIKOŁAJ POGODIN

Ze starego notatnika

Kremlowskie kuranty

NOWA WERSJA



Motto:

...ale socjalizm nie może wprowadzić mniejszość — paria. Mogą go wprowadzić dziesiątki milionów, kiedy nauczą się to robić sami.

Z przemówienia Lenina na VII Zjeździe Partii, 8 marca 1918 r.

Moskwa, 28 marca 1918 r.

Wczoraj przyjechaliśmy nareszcie do Moskwy. Komisarjat do Spraw Polskich przetrwał się jeden z ostatnich. Moskwa wcale nie była przygotowana na przyjęcie Rządu. W braku odpowiednich gmachów państwowych, poszczególne Komisarjaty Ludowe zajęły prywatne pałace arystokracji i bogatych kupców. Właściciele tych pałaców przeważnie uciekli za granicę zaraz po wybuchu Rewolucji. Komisarjat do Spraw Polskich otrzymał pałac kupca Tarasowa na rogu zaulka Chlebnego i Rzewskiego.

Wyjeżdżaliśmy z Piotrogradu około północy. Miasto wydawało się wymarłe. Ostry, przejmujący wiatr dął od zatoki przez puste ulice, łobotał szylkami i oblepiał szyby. Komisarjat do Spraw Polskich otrzymał pałac kupca Tarasowa na rogu zaulka Chlebnego i Rzewskiego.

14 marca IV Nadzwyczajny Zjazd Rad ratyfikował pokój Brzeski i zatwierdził przeniesienie stolicy do Moskwy.

Pomyślałam: „W Smolnym nie ma już Lenina”.

Wyniosłam, że marmurowe siołce, wydało mi się narażone sierocą i opuszczone.

Komisariat do Spraw Polskich otrzymał od swego rozporządzenia wagon salonowy. Rano przedwcześnie rana salon w naszym

wagonie zmienił się w redakcję „Trybuny” (*). Następny numer musiał się ukazać natychmiast po naszym przyjeździe do Moskwy. Na szczęście zespół redakcji znalazł się w pełnym składzie: z naczelnym redaktorem — Julianem Leszczyńskim — Leńskim (onże Komisarz do Spraw Polskich), Stanisławem Bobińskim, jego zastępcą (onże Komisarz do Polskich Spraw Wojskowych) i sekretarzem — Bronisławem Bortnowskim — Bronkowskim.

Zastukały maszyny. Zrobiło się od razu szaro od dymu i bardzo głośno, bo każdy artykuł wywoływał namiętne spory. Worek orzechów włoskich, w które Leszczyński zaopatrzył wagon, nie mało przyczynił się do urozmaicenia drogi. Leszczyński widać nie bardzo liczył na to, że będzie chleb. Ale był chleb. Nasz „przewodnik” (gospodarz wagonu) z namaszczeniem ustawiał na białym obrusie talerze z kromkami czarnego chleba i salaterki kiszonych ogórków. A myśmy byli właśnie spragnieni tego czarnego chleba. W Piotrogradzie, w Astorii, (w I-ym Domu Sowietów) wydawał nam „ośmieszek” (1/8 funta) chleba dziennie!

Niepostrzeżenie jakoś minęło półtorej doby. Nie zdążyliśmy nawet zatroszczyć się, gdzie zamieszkamy w Moskwie. Komisarjat otrzymał lokal, ale my musimy sami o sobie myśleć. W przepełnionej Moskwie nie jest to łatwe. Leszczyński liczył na jakichś starych przyjaciół, Bobiński — na Stacha Budzyńskiego. („Jakoś się przy nim ulokujemy”). Wiedzieliśmy już, że Budzyński został mianowany Komisarzem Ludowym Opieki Społecznej. Stach Budzyński — Komisarzem Ludowym!

Ostatni raz widziałam go w Warszawie w lipcu 1915 roku w nocy na stacji. Fiedy go wywożono do „Krestów” (**), wraz z Bobińskim, Prusem, Łazowertem i innymi — cały Komitet Warszawski S. D. K. P. i L. (**). Stała mi jeszcze przed

*) „Trybuna” — polska gazeta codzienna, która wychodziła od 1917 roku najpierw w Piotrogradzie, a od 29 marca — w Moskwie.

**) „Kresty” — więzienie w Piotrogradzie.

***) Komitet Warszawski SDKPIL został zaarrestowany w mieszkaniu tow. Prusa 10 lipca 1915 r.

oczyma jego jasna, młodzieńcza twarz w drzwiach wagonu. Miał wtedy 21 lat. Pracował w mechanicznej fabryce obuwia. Dużo czytał. Gorliwie uczęszczał na popularne wykłady Tow. „Przyszłość” *) na ul. Żelaznej.

Był już wtedy członkiem Warszawskiego Komitetu SDKPIL i w partii nazywał się „Tradycja”. Teraz więc miał 24 lata. Z tego dwa i pół lat więzienia!

(Nie wiedziałem wówczas, że już jesienią 18 roku Stach Tradycja znany będzie całej robotniczej Warszawie i że jego schrypnięty głos będzie grzmiał na warszawskich ulicach i placach).

Moskwa powitała nas blaskiem słońca i wiosennym błękitem nieba.

Budzyński oczekiwał na stacji. Pomimo długiego kawalerskiego szynela i wojskowej czapki,

*) Tow. „Przyszłość” — założone przez SDKPIL pod szyldem walki z alkoholizmem, urządzało popularne wykłady marksizmu i inne popularno-naukowe odczyty.

wciąż jeszcze miał wygląd chłopięcy. Witał się ze mną bardzo wzruszony.

— Przecież niedawno jeszcze chodziliście po Warszawie — tłumaczył się naiwnie, po raz trzeci ściskając mi ręce.

(W ciągu ubiegłego miesiąca przywykłam już do tego, że oczy towarzyszy — Polaków wilgotniały na mój widok i że ręce wyciągały się do mnie z tęsknoty... za Warszawą, skąd cudem jakimś przybyłam przez front).

Po pierwszych gorączkowych pytaniach o ojca, siostrę i brata, (wiedziałam ich w przeddzień wyjazdu), Budzyński oświadczył, że zabiera nas oboje „do siebie”, a mnie werbuje dziś jeszcze do Kolegium Komisarjatu Opieki Społecznej.

To mi trochę zaskoczyło. Byłam etatowym współpracownikiem „Trybuny”. Co powie na to Leszczyński?

Leszczyński zaprotestował. „Do Kolegium Opieki Społecznej nie koniecznie trzeba Polaków i pisarzy”.

Budzyński zaczął tłumaczyć gorąco, że w kolegium ma ex-generałów, tajnych radców stanu, „czort wie” kogo!

— Dokoła sabotaż. Muszę mieć w kolegium choć jednego naszego człowieka.

Pogodziłam ich:

— Będę w Kolegium i będę pisała do „Trybuny”.

(Leszczyński, zdaje się, nie bardzo w to wierzył).

W Moskwie — wiosna. Na Miasnickiej *) z dachów i z rynien chlują strugi wody; po bokach ulicy bulgocą białe potoki, a w środku tłoczą się ludzie odziani w kożuchy z workami i tobołami na plecach. Naprzeciw nim ku dworcowi prze szary, zbiedzony tłum zdembolizowanych żołnierzy, z nędznymi węzłkami przetrzuconymi przez ramie. Nasz samochód z trudem posuwa się w tej cizbie. Tworzy się zator. Klną woźnice, ryczą syreny ciężarówek. Zgłębienie wydzwaniają jakieś cerkiewki.

— Zeżrą nas te „mieszczniki” — mówił ponuro Budzyński, wskazując ludzi z tobołami. — Zginieją, jeżeli nie okiełznamy spekulacji.

Ale ja jestem oszłomiona Moskwą. Co za kontrast z surowym, groźnym Piotrogradem!

— Tam był front. Moskwa to tyły. Prawda Staśku?

Bobinski nie odpowiada zagłębiony w gazetach. (Dwie doby nie mieliśmy gazet!) Budzyński odwrócił się do mnie z tajemniczym uśmiechem.

— Moskwa — to też front. Przekonacie się dziś jeszcze.

Dopiero kiedy samochód skręcił na wybrzeże rzeki Moskwy, Bobiński oderwał się od gazet.

— Dokąd ty nas wieszysz, u licha?

— Do Węglińskiego.

— Nie dale ci mieszkania?

— Dali — mruknął Budzyński i machnął desperacko ręką. — siedem pokoi w amfiladzie! Zajrzalem... i uciekłem do Węglińskiego.

Mieszkamy u Węglińskiego. A raczej w „Szesnastym Lotnym Oddziale Czerwonej Gwardii”, Oddział zaś mieści się w suterrenach „Wspitałelnicy Doma” (**).

(Dokończenie na str. 4)

*) Dziś — Kirowa.

**) „Wspitałelnicy Doma” — dom wychowawczy, fundacja starej cesarzowej dla sierot, po poległych oficerach; obywateli czworobok kłupietowych domów, wychodzących tyłami na Solankę, a frontem na Wybrzeże rzeki Moskwy.

AKT III.
Odsłona VIII.

Gabinet Lenina na Kremlu. Na stole rozłożone są mapy. LENIN. DZIERŻYŃSKI. LENIN pracuje przy stole. Po chwili dzwoni. Wchodzi SEKRETARZ.

LENIN: Poproście do mnie inżyniera Zabiela. (Sekretarz wychodzi i zaraz wraca). I powiedzcie towarzyszowi Stalinowi, że go tu prosimy. (Sekretarz wychodzi przez inne drzwi. Zjawia się ZABIELIN). Inżynier Zabieli?

ZABIELIN: Tak.

LENIN: Antoni Iwanowicz?

ZABIELIN: Tak.

LENIN: Dobry wieczór. Proszę siadać. (Zabieliin siada. Milczenie.)

Więc jak będzie: wolicie sabotaż czy pracować?

ZABIELIN: Nie przypuszczałem, że moje problemy osobiste mogą kogokolwiek interesować.

LENIN: Wyobraźcie sobie, że mogą.

I właśnie chcieliśmy naradzić się z wami w pewnej niezwykle ważnej sprawie.

ZABIELIN: Nie wiem, czy moje rady mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie.

LENIN: Kogo ta wątpliwość ma dotyczyć: nas, czy was, inżynierze?

ZABIELIN: Od pewnego czasu przestało mnie pytać o radę.

LENIN: To chyba znaczy, że ludzie byli zaprzęgnięci innymi troskami.

Jak wam się zdaje?

ZABIELIN: Tak. Zapewne. Zaprzętały ludzi inne troski.

LENIN: A teraz potrzebna jest wasza rada. Co tu dziwnego?

ZABIELIN: Jestem trochę, jakby tu rzecz... zaskoczony.

DZIERŻYŃSKI: Zawadza wam ten węzełek. Może go odłożyć?

LENIN: Dziś sobota, dzień kąpiel. Na pewno wybieraliście się do łaźni?

ZABIELIN: Tak, istotnie, wybierałem się do łaźni.

LENIN: Jeszcze zdążycie. Nie zatrzymamy was tu długo. (Wchodzi STALIN. Lenin przedstawia Zabiela Stalinowi). Inżynier Zabieliin. Opowiedzcie o waszej rozmowie z tym uczonym. To będzie i pożyteczne i ciekawe.

STALIN: Sądze, że inżynier Zabieliin nie wie o co chodzi. Czy pozwolicie wprowadzić go w sedno sprawy?

LENIN: Ależ tak. Koniecznie.

STALIN: Nas, bolszewików, zawsze interesowały podstawowe problemy przebudowy całego organizmu Rosji, ale wojna, jak sami rozumiecie, pochłaniała wszystkie nasze siły. Istnieją zainteresowania amatorskie, albo jak u gogolowskiego Maniłowa — przyjemne, lecz bezużyteczne. Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami czegoś takiego. Teraz rząd radziecki zajęty jest taką kwestią: jakby tu bez Waregów, własnymi siłami, natychmiast, przystąpić do elektryfikacji Rosji. W tym celu właśnie szukamy kontaktu ze specjalistami w tej dziedzinie.

Specjaliści, rzecz jasna, zdarzają się rozmaici. Wczoraj na zlecenie towarzysza Lenina miałem w pewnym uczonym panem rozmowę o budowie elektrowni. Ten uczony — przed rewolucją był akcjonariuszem pewnego przedsiębiorstwa elektrycznego — nie bardzo chętnie to rozmowę prowadził. Jednakże, nie bacząc na swoją nierozmowność, pan ten dość energicznie utrzymywał, że w Rosji elektryczność nie ma przyszłości.

Kraj nasz, jak wiadomo, jest płaski, rzeki płyną po nim leniwie, a dla otrzymania energii elektrycznej powinno się mieć coś w rodzaju wodospadu Niagara...

ZABIELIN: To mógł powiedzieć tylko nieuk...

STALIN: Ale to uczony o dużym autorytecie.

ZABIELIN: Albo oszust.

STALIN: A, to inna sprawa.

LENIN: Ale dlaczego, oszust? Najpierw trzeba dowieść.

ZABIELIN: Można prosić o mapę Rosji?

LENIN: Oczywiście. (Rozkłada mapę na stole).

ZABIELIN: Początnię się pokazać tu dobry dziesięć miejsc, gdzie możemy natychmiast, w warunkach naturalnych pობудować elektrownie plaćujące na białym węglu... Tutaj... i tutaj... a czy tu nie można?

LENIN: Co to takiego?

ZABIELIN: Porzeczka dneprowska.

LENIN: A gdzie to można budować?

ZABIELIN: Sądze, że gdzieś w dolnym biegu... nie nad samym morzem, oczywiście...

LENIN: A dobitnie by było gdzieś nad samym morzem: zbudować ogromny pałac elektryczności...

Niech patrzą i podziwiają!

ZABIELIN: Albo węzcie te torfowiska... albo Angarę na wschodzie.

Elbrus na Kaukazie...

LENIN: Czy możecie nam na ten temat sporządzić notatkę?

ZABIELIN: Nie wiem, czy byłbym w stanie. Dawno nie zajmowałem się podobnymi kwestiami.

LENIN: Czym więc zajmowaliście się?

ZABIELIN: Niczym.

DZIERŻYŃSKI: Mówicie nieprawdę. Inżynier Zabieliin handluje zapalkami.

LENIN: Jak to — zapalkami?

DZIERŻYŃSKI: — inżynier stoi na ulicy i handluje na lewo zapalkami.

LENIN: Handlujecie hurtem czy detalicznie?.. Na pudełka?..

Sluchajcie — to to nieszczęście! To już wstyd i hańba, kochaneczku! W naszych czasach sprzedawanie zapalek... Za takie sztuczki trzeba rozstrzeliwać...

ZABIELIN: To już jak pan sobie życzy! Już dawno na to jestem gotów.

LENIN: Na co jesteście gotowi? Na przyjęcie korony cierniowej?.. Kto was zmusza do sprzedawania zapalek?

ZABIELIN: Nie ma dla mnie innego zajęcia.

LENIN: Jak to — nie ma innego zajęcia? Komu to mówicie?

ZABIELIN: Nikt mnie nie wzywał.

LENIN: A dlaczego mieliśmy was wzywać? Czy dawniej byście też siedzieli i czekali, aż was kto wzwie? A zresztą, jeżeli nie porywa was idea elektryfikacji Rosji, to możecie handlować zapalkami!

Możecie.

ZABIELIN: Nie wiem... czy potrafię...

(Lenin z gniewem odchodzi na bok i nie odpowiada).

STALIN: No, tego i my, rzecz jasna, nie wiemy.

ZABIELIN: Bolszewika się ze mnie nie robi.

STALIN: To możliwe.

ZABIELIN: W Rosji ma być zbudowany socjalizm. A ja w socjalizmie nie wierzę.

LENIN: A ja wierzę. I kto z nas ma rację? Wy myślicie — że wy, a ja — że ja. Kto nas rozsądzi? Ano, spróbujmy zapytać Dzierżyńskiego. Ten powie najpewniej, że ja mam rację, a wy — nie. To już wam wystarczy?

ZABIELIN: Rozumiem: moje słowa to dla was belkot niemożliwy.

STALIN: Ale przecież socjalizm to nie wasza specjalność.

ZABIELIN: Pewnie, że słabo się orientuję.

STALIN: Czemu więc bierzecie się do wyrokowania o sprawach, które nie są waszą specjalnością? Znaćcie towarzysza Krzyżanowskiego?

ZABIELIN: Znam.

STALIN: I nic nie słyszeliście o jego pracach nad naszymi planami elektryfikacji?

ZABIELIN: Coś słyszałem... Coś tam mówiono.

LENIN: Krzyżanowski mi mówił, że macie wspaniałe doświadczenia w tej dziedzinie, że potraficie tworzyć wysmienite projekty... a wy tu zapalkami handlujecie! Co za duża historia!

ZABIELIN: Już nie będę... zaprzęstanę tego.

DZIERŻYŃSKI: Chwała Bogu.

LENIN: Coście powiedzieli?

DZIERŻYŃSKI: Powiedziałem — chwała Bogu.

ZABIELIN: Z tego wynika, że miałbym brać się do tej pracy?

STALIN: I czyni przedzie wzmocniecie się, tym lepiej.

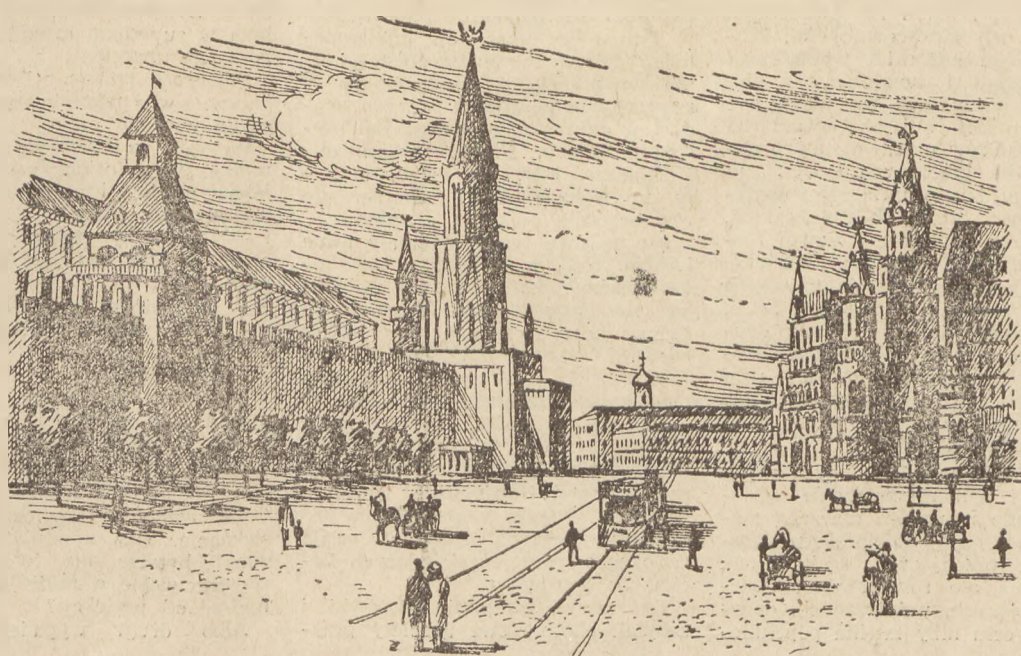
ZABIELIN: Ale wy nie znacie mnie dobrze.

LENIN: Trochę już znamy.

ZABIELIN: Nikt z partii komunistycznej nie może mi dać rekomendacji.

LENIN: Wytawcie sobie, że może.

(Dokończenie na str. 7)



Plac Czerwony na początku XX wieku

O sytuacji nie tylko w biologii

Książę Zimmermann nie należy bynajmniej do postaci znanych zbyt dobrze współczesnym, z tego prostego powodu, że rozwój jego skromnej działalności przypadł na dawne zielone jeszcze lata dwudziestego wieku, a i wtedy nie był znany daleko poza bramami wawelskiego grodu. Mieszkając w nim oddawał się jako ówczesny odpowiednik ks. Piwowarczyka rozstrząsaniu nad losami i teraźniejszością ludzkiej społeczności, ujmując je ze stanowiska Św. Teologii. Stanowisko to, którego był oddanym wyznawcą, nakazywało mu zwalczać szerzącą się wśród młodzieży książęco-biskupiego grodu świecką, bezbożną naukę o materialistycznej przyczynowości rządzącej rzekomo społecznym życiem ludzi i idei. Nauczał, idąc śladem Ojców Kościoła, że jeśli na ziemi nie wszystko dzieje się najlepiej, to dlatego, że ludzie zlekceważyli sobie przykazania Ducha, stali się niedoskonałymi i że powrót do doskonałego postulatystwa przykazaniom jest jedyną drogą do wydobycia się z kłes, które — jak bezbożność, moralne podkaszanie, „Zielony Babilon”, proletariata i naga szuka — spadły na błądząca ludzkość. Nie trzeba wielkiej spostrzegawczości, aby dostrzec, że zarówno stosowania przez ks. Zimmermanna sposób tłumaczenia genetycznych niesympatycznych mu zjawisk, jak i proponowane środki zaradcze noszą charakter najdoskonalszej idealistycznej, gdyż oparte są na założeniu, że: 1) wszelkie zło zarówno indywidualne jak i społeczne rodzi się z przyczyn natury duchowej; 2) droga naprawy wiedzie jedynie poprzez powrót do duchowej doskonałości. Akt strzelistych w tym ujęciu konieczną i wystarczającą przyczyną przewyższenia zła.

Nawet człowiek szanujący najgłębiej intencje ks. Zimmermanna musiałby przyznać, że świetności zamiarów nie szła u niego w parze z doskonałością w opanowaniu metod naukowego myślenia. Zdają sobie z tego sprawę dzisiejsi jego następcy pilnie przysiadając faldów nad książkami wprowadzającymi ich w mniej duchologiczną metodę interpretacji genetycznej i dynamiki zjawisk.

Jeśli przypomnieliśmy sobie jednak zacytowaną przez ks. Zimmermanna metodę, że jego metoda nie wyszła jeszcze jak się okazuje z obiegu, a nawet przeżywa obecnie pewien renesans podbijając urokiem swojej prostoty i wielowiekowej patyny umysły ludzi nie podlegających skądinąd wpływom reprezentowanego przez światopoglądu. W dzisiejszej swojej postaci metoda ta została oczywiście zneutralizowana na podobieństwo trwałych wartości kultury i okazuje się zdolna do obsługiwanego światopoglądu najzupełniej świeckiego. Napotkać dziś można wiele prób postępowania się jej założeniami w interpretacji współczesnych zjawisk życia kulturalnego i naukowego, prób, które wbrew oczywistemu prawdopodobieństwu rodzą się również w marksistowskim środowisku. I to jest właśnie fakt, na który chcemy zwrócić uwagę. Gdyż jest on naszym zdaniem symplem pewnych poważnych niedomagań marksistowskiej analizy współczesności — pojawia się mianowicie z regularnością punktualnego upiorka wszędzie tam, gdzie narodziła potrzeba wytłumaczenia tych procesów i zjawisk społecznych, które nie mieszczą się w szereg pomyślnych prawidłałości, kształtowania się socjalistycznego społeczeństwa. Tam, gdzie zespół pomyślnych prawidłowości nie wystarcza do rzetelnej analizy, gdzie teoria przeżytków raczej zawodzi, pełniąc coraz bardziej funkcję środka na samouspokojenie, pojawia się jako smutne świadectwo naszych teoretycznych niedomagań najczystszy idealizm, jako prowizoryczne — niech żywi nie tracą nadziei — latanie dziur przyczynowej interpretacji ciemniejszych stron stwarzanej przez nas samych współczesności. Najlepsi marksiści, wzięci w ogień nie przewidzianych faktów, poczynając gorączkowo wypełniać białe plamy na teoretycznej mapie niezwykle użytecznych terminami z ogromnego, natrętnego i podręcznego arsenału idealizmu mowy potocznej. A idealizm ten odległy jest tylko o międę od idealizmu spod znaków księdza Zimmermanna czy Piwowarczyka. I dlatego brzdąmy — na razie po kolana — w pseudo interpretacjach socjologicznych niezmierznie bliższych typowi myślenia powyższej wymienionych uczonych, jeśli tylko stajemy przed teoretycznymi nieprzewidywaniami dotąd zjawiskami, których w ostatnim czasie życie używało nam dość hojnie.

Jednym z takich zjawisk były pewne niepomyślne prawidłowości w dziedzinie organizacji nauki, które chcemy, z braku lepszego terminu, terminem komenderowania. Jedną z ostatnich prób niezwykle potrzebnej analizy przejawów i skutków tej bardzo brzydkiej choroby jest artykuł, tow. K. Petruszewicza i Wł. Michałowa w 9(75) numerze „Nowych dróg” z września 1955 r. o obecnym etapie walki ekologicznej w biologii. Artykuł jest niezmiernie potrzebny choć nieco spóźniony. Na pewno przyczyni się do zmniejszenia chaosu, jaki wahałowe losy teorii Łysenki wywołały w środowisku polskich biologów. Dzięki przywróceniu honoru podstawowej zasadzie nauko-

wych dyskusji — jaką jest konieczność obiektywnego rozpatrywania faktów niewygodnych dla naukochamszej nawet hipotezy czy teorii — przyczyni się na pewno do przywrócenia tak potrzebnego dla rozwoju nauki klimatu, który byłby bliższy rozprawom uczonych niż mowom prokuratorów. Ale widziany od innej strony, od strony usiłowań wytłumaczenia genetycznych kardynalnych, jak zobaczymy, grzechów, stanowi niezwykle charakterystyczny przykład beznadziejności, latanej bohaterstwem samokrytyki.

Niech autorzy wybaczą nam, że weźmiemy ich na warsztat w dość beceremonialny sposób. Ale czynimy to w najuczciwszym celu, dla społecznego dobra, dla którego heroiczna moralność nakazuje poświęcać nawet najdroższe osoby. Ich artykuł jest laboratoryjnym wprost przykładem ulegania zwycięskiemu natrętnemu owego naprzykrzonego idealizmu w interpretacji pewnej strony społecznych zjawisk współczesności. Chcemy przy pomocy sekcji tego artykułu zasygnalizować to ważne niebezpieczeństwo, którego nie zauważają na ogół generowanie filozoficznego frontu, skupieni na odcinku walki z idealizmem obcego czoła.

Czynimy to nie tylko w zamian za wydawania boju metodologii księdza Zimmermanna w jakiejś kolwiek zjawiały się przed nami postaci. Porusza nas ponadto myśl o szkockach, jakie technika kampanii o nową biologię wyrządziła pamięci Ojca Mieczysława, wspianego uczonego, którego ascetyczno-naukowe sumienie, wspólne wielkiemu pokoleniu rosyjskich badaczy-racjonalistów, duchowych uczniów Czernyszewskiego, smuci się bardzo na widok nieco kawalerskich metod propagatorów jego wielkiego imienia i wielkiego dzieła. Poza tym poruszają nas gorące losy młodej kadry biologów, która mając pełną napróżd polską biologię, nie najświetniej stojącą, dostawała się w trybie obrotowych losów teorii Łysenki i zamiast raz z czołami faktami — raziła ich artefaktami, które jak zle grunaty mają zycząc wybuchać we własnych szeregach.

Otóż zjawiskiem społecznym, które omawiają autorzy artykułu jest przebieg i skutki toczące się od kilku lat kampanii o przestawienie nauk biologicznych na nowe tory bliskie problematyce i metodologii biologii radzieckiej i bliskie potrzebom naszego nowego socjalistycznego rolnictwa. Autorzy stwierdzają, że wskutek popełnienia pewnych „przykrych błędów” w technice propagowania poglądów nowej biologii „dogmatyzm, powierzchowność, deklaratoryność stały się zjawiskiem coraz pospolitszym w naszej biologii”, a nastroje naukowego środowiska ulegały raczej ochłodzeniu niż ociepleniu.

Jeśli już mówimy o naukowym środowisku to powiedzmy, że sporom tam było obyczajów przypominających nieco obyczaje profesorów Jagiellońskiej Almye Matris sprzed Kollatajowskich reform. Nie uważamy przeto, jak ludzie ograniczeni popochem, że nauką nie należało administrować i czekać aż duch prawdy zwycięży własnymi środkami. Nie podobnego. Prawdziwa należała, tym bardziej w dobie wielkiego przewrotu, pomagać bardziej ziemskimi, niż siła idei środkami; było tylko, mówiąc po warszawsku, prawdą była faktem a nie reklamą a używane w jej służbie ramie świeckie nie nabrało w czasie walki ochoty stać się duchową głową i samemu zasiąść na tronie nauki. A to zjawisko staje się

właśnie rdzeniem komenderowania w nauce, które polega bynajmniej nie na obronie prawdy lecz na jej wyrzuceniu. Ale wróćmy do analizy błędów dokonanych w biologicznej kampanii.

Jaki charakter miały owe przykre błędy? Autorzy wymieniali siedem głównych grzechów popełnianych w dotychczasowej kampanii. Cytujemy je w porządku przyjętym w artykule opatrząc tylko numeracją i odpowiadającymi im ich naturze nazwami: 1. Grzech niebezinteresownej identyfikacji polegający na skłonności do utożsamiania wszystkich też biologii mierzownicowej z materializmem dialektycznym; czyli postępowanie w rozstrzyganiu sporów na terenie nauki szczegółowej wyrokami opartymi wyłącznie na dedukcji z tez metodologii ogólnej.

2. Grzech doskonałej pogardy polegający na skłonności do tzw. absolutności potępienia w stosunku do poglądów i twórczości naukowego oponenta, czyli apriorycznie negatywny stosunek do całości dorobku przeciwnika.

3. Grzech mnożenia wrogów i niedostrzegania przyjaciół polegający na skłonności do „waktownia nauki zachodniej jako niezróżnicowanej całości opatrzonej ujemnym znakiem. „Nie wypuklaliśmy tego, że na Zachodzie są różni badacze, zarówno reakcyjni jak i postępowi”.

4. Grzech pojedynku z upiorami polegający na skłonności do lekceważenia „jednego z podstawowych obowiązków naukowca”, czyli obowiązku „zapoznania się z rzeczywistym stanem nauki światowej” i prowadzenia wskutek tego zaciekłych polemik z poglądami sprzed lat kilkunastu i kilkadziesiąt, których dziś nikt prawie nie podtrzymuje.

5. Grzech badawczego lenistwa polegający na niepodjęciu własnych badań mogących rozstrzygnąć sporne zagadnienie i wynikające stąd skłonności do zastępowania uogólnień — ogólnikami. „Często zapominaliśmy, że uogólnienia i ogólniki — to nie to samo”.

6. Grzech hrani słów za czynny, polegający na skłonności do tolerowania, w skutku powyższych sposobów prowadzenia naukowych sporów, p o d w o j n e j d e k l a r a t y w n o ś c i — zarówno zwycięzców jak i zwyciężonych w tym pyrrusowym boju.

7. Grzech zwycięstwa administracyjnych polegający na skłonności do odnoszenia sukcesów środkami administracyjnymi, przymusu, tłumienia dyskusji, wprowadzania „monopolistycznego stanowiska określonych poglądów” przed ich rzeczywistym i zornym z regułami naukowej roboty zwycięstwem.

(Jeśli biedzieliśmy się nad terminologią grzechów to z życzliwości dla następujących chętnych do spożycia, powodowani intuicyjnym wyczuciem społecznego zamówienia na taki katalog, który służyłby również sytuacji na terenie innych nauk). Przyznajemy, że grzechy te, których istotę przytaczamy najwierniej za autorami artykułu, stanowia pokazy bukiet wykroczeń przeciwko nauce, która według wszystkich podręczników historycznego materializmu rozwijać się powinna bez tego typu przeszkód. Jeśli zauważymy, że grzechy te nie są właściwością wyłącznie biologii, otrzymujemy coś w rodzaju hipotezy pewnej prawidłowości niepomysłnej pojawiającej się

równolegle z walką o nowe miejsce i nową problematykę rozwoju nauki w socjalistycznym społeczeństwie. Jest to więc bez wątpienia zjawisko społeczne, które trzeba by jakoś wytłumaczyć przede wszystkim po to, aby uchronić się od jego powrotu. Z jakim tłumaczeniem spotykamy się w artykule „Nowych dróg”?

Przy każdym niemal z tych punktów figuruje zwrot pełniący rolę przyczynowego wyjaśnienia dla całości owych przykrych błędów popełnionych przez ludzi kierujących się intencją podniesienia na wyższy, społecznie użyteczniejszy poziom reprezentowanej przez siebie nauki: „zapomnieliśmy że... nie docenialiśmy że... nie dostrzegliśmy że...” Otóż właśnie suma tych zwrotów stała się głównym powodem spisania niniejszego alarmu sygnalizującego przenikanie socjologii księdza Zimmermanna do marksistowskich szeregów.

Gdyby wziąć je poważnie, wynikałoby z nich, że doświadczeni naukowcy potrojmą przestawieniu całej gałęzi nauki na nowe tory wyzbyli się na pewien czas, wskutek swych subiektywnych niedoskonałości, których istnienie uznajemy pod naciskiem faktów, umiejętność postępowania się zasadniczymi regułami znanej od kilku co najmniej wieków techniki naukowego myślenia i prowadzenia sporów. Jeśli weźmiemy dodatkowo pod uwagę dość uniwersalny czyli powszechnie występujący charakter owych siedmiu grzechów głównych i ich kumulację w pewnym okresie czasu, to wynikałoby, że tak poważne zjawisko społeczne jakim była operatywność w nauce — stanowiąca pewien odpowiednik operatywności w innych dziedzinach życia, miałaby swe jedyne źródło w subiektywnych przypadłościach pojedynczych ludzi, którzy z bliziej niewytłumaczonych przyczyn wyzbyli się, ni stąd ni z owąd wierności wobec ducha nauki, tego ducha, o którym dobry jego kompan i towarzyszy, Fryderyk Engels, mówił, że „im bezwzględniej i bezstronnie” — czyli z nim właśnie w zgodzie — „zachowuje się nauka, tym bardziej jest zgodna z interesami i dążeniami robotników”.

Występująca w artykule tow. Petruszewicza i Michałowa duchologiczna interpretacja przyczynowa uparcie występujących przykrych błędów jest niewątpliwie interpretacją opartą na poważnym zapożyczeniu od socjologii ks. Zimmermanna. I dlatego jeśli „trzeba sobie zdać z nich sprawę nie tylko po to, aby ich nie powtarzać, ale i to jest najistotniejsze aby do reszty usunąć ich skutki”, nie wypadła poprzestąć na tym idealizmie subiektywnym samokrytycznego typu. Należy chyba pójść nieco dalej i zanalizować przyczyny, rzeczywiste warunki i przejawy kształtowania się w nauce tego typu materialno-moralnych zjawisk, jakie od czasu dyskusji o językoznawstwie noszą nazwę „systemów Arakcejewów”.

Bez porządku socjologii tego typu nekających nas zjawisk trudno będzie uchronić się od renesansu praktyk myślowych spod sztandaru ojca Zimmermanna. A autorem artykułu w „Nowych drogach” powinniśmy być wdzięczni za pomoc w jasnym uprzytomnieniu sobie tego niezmiernie poważnego dla marksistowskiej socjologii niebezpieczeństwa. Jan Strzelecki

Notatki

JERZY ANDRZEJEWSKI

1. Anonimy prawie zawsze bywają plugawe i z pustego miejsca na papierze, gdzie powinien widnieć podpis, wyłania się zazwyczaj płaska twarzyska wykrzywiona złością i zawiścią. Przecież i w tej regule zdarzają się wyjątki. Akurat przed paroma dniami otrzymałem list podpisany wprawdzie tylko inicjałami, lecz wbrew oczekiwaniom — przyjazny, powiedziałbym nawet: serdeczny. Młoda osoba, która — jak mi się zdaje — jedynie przez skromność nie podała swego nazwiska, była obecna na moim niedawnym wieczornym autorskim i właśnie w związku z pytaniem postawionym przez nią w czasie dyskusji pisze, iż wyczuli, że owym zapytaniem dotyczącym mego młodzieńczego „Ładu serca” sprawiła mi była przykrość. Następnie dodaje: „...chciałam właśnie napisać panu, że wydaje mi się, że pisarz nie powinien „odgradzać” się od zadanego swego dzieła”.

Słusznie. Ja też tak myślę. Zresztą nie tylko od dzieła, lecz w ogóle od niczego ze swego życia nie można się ostatecznie odciąć, ani niczego ze swojej przeszłości nie podobna bez reszty przekreślić. Wszystko, co było — istnieje dalej. Kto sądzi inaczej, chyba się ludzi, że wraz ze zmianą poglądów można stare, porzucone wywabić, jak odczynnikami chemicznymi plamę. Nie ma w naszym życiu stronic białych, lub przekreślonych. Można wprawdzie stworzyć pozory, że czegoś nie było, lecz ten wysiłek bynajmniej nie usuwa następstw tego, co raz się stało.

Lecz właśnie dlatego, że w podobny sposób myślę, nie sądzę, aby pisarz mógł się wstydić któregośkolwiek ze swoich utworów. Nie wydaje mi się, żeby wstyd, lub próby „odgradzania” się były właściwszym stosunkiem do przeszłości. Wstyd nie musi być cieniem przemian. Cóż z tego, że dzisiaj niektórych tematów kiedyś mnie pasjonujących w ogóle bym nie podjął, albo podjąwszy stary wątek — napisałbym utwór całkiem różny od istniejącego? Albo że przed dwudziestoma laty inaczej niż teraz widziałem i oceniałem świat? Ależ tak, oczywiście, że inaczej! Po cóż mi zresztą sięgać w przeszłość tak odległą, jeśli świadkami przemian stają się dla mnie również lata całkiem niedawne? I prawdę mówiąc — mógłbym po okno wyrzucić pióro, gdybym popadł pewnego dnia w magiczną pewność, że się już nic w moich opiniach nie zmieni i do końca życia będę myślał akurat tak samo, jak teraz. Trudno. Nie ufam zapewnieniom i zaklęciom „na zawsze”.

Co to znaczy „na zawsze”? Czy ma to oznaczać, że już wiem o świecie wszystko i świat zaklęty moją wiedzą skamienieje? Wszystko, tylko nie to! Obrozą i łańcuchem staje się myślenie, któremu nie towarzyszą sprawdzanie myślenia oraz gotowość odejścia od tego, co się po gruntownej rozprawie uzna za błędne i nie dobre. Właśnie o gotowość odejścia chodzi, o ową nie zawsze łatwą dyspozycję wewnętrzna, która nie pozwala się godzić na pozór i fałsz. Trudno o ludzi bardziej zagubionych od tych, którzy w imię złe pojętej wierności skazują siebie ostatecznie na to, iż wszystkim, co czynią lub mówią — zaprzeczają ich umysły i

serca. Doprawdy, niesposób mniemać, aby rozdwojona osobowość — „anima naturaliter duplex” — była kształtem ludzkim godnym szacunku.

2. W starym notatniku sprzed dwóch lat znalazłem tekst piosenki ludowej przepisany z antologii „Jabloniec”.

Bodaj zgorzały cymbały, bodaj zgorzały, zgorzały! Pojechał na załoty, grać mi nie chciał, nie chciał.

Przyjechałem do domeczku, powiesiłem na koleczku. Same cymbały zagrały, same zagrały, zagrały.

3. Cokolwiek by się powiedziało o płodnej lub niszczącej sile przemian (nie ma rzeczy ludzkiej, która by się nie mogła obrócić na dobro, czy zło) — wydaje mi się, że każdy człowiek nosi w sobie kilka „tematów” niezmiennych i właśnie one, trwając uparcie wśród wszystkich kolei czasu i losu, posiadają decydujący wpływ na to, czego się w życiu słucha, co się wybiera i co, kiedy i dlaczego się odrzuca.

Wielokrotnie Kochamy, znajdujemy licznych przyjaciół, piszemy różne książki, towarzyszą nam sprzeczne, skłócone ze sobą pragnienia, jeśli jednak wywołują poczyniemy spoczywające poza nami obszary przeszłości i uważnie się przypatrzmy warstwowi własnego istnienia — wówczas dostrzeżemy, że w istocie przeżywalimy w różnych kształtach jedną jedyną miłość, jednej poszukiwaliśmy przyjaciół, jedną wciąż książkę od lat piszemy i głosy tych samych pragnień rozbrzmiewają o krok przed nami zarówno w młodości, jak w wieku dojrzałym. Zmienność zmienności — tak by chyba można określić dzieje człowieka.

W tym przecież rzecz, że często-kroć ludzie nie słyszą swoich „tematów”, lub słysząc — czynią wysiłki, by je zgłuszyć, a nawet skazać na milczenie. Również i samo życie sprawia niejednokrotnie, że ten, czy inny z naszych „tematów” powoli przysycha, wiotczeje i milknie, albo brzmieć zaczyna wale i ubogo, jak pisk myszy. Jak może dokonywać wyboru człowiek, który uśmiercił któryś ze swoich „tematów”? Co się stało z człowiekiem pustym, jak dzwon bez serca?

4. Wczoraj jeden ze znajomych spytał mnie, jak mi idzie praca nad nową powieścią? Odpowiedziałem, że jestem bardzo zadowolony, ponieważ po długim okresie rozlicznych wątpliwości i wahań udało mi się je wreszcie przełamać i ruszyłem dzięki temu naprzód, wiedząc już teraz jasno, co mam powiedzieć i jak. „Dużo napisałeś?” — spytał mój znajomy. „Owszem, dużo — powiedziałem. — Wyrzuciłem wszystko, co napisałem”.

Mój przyjaciel się roześmiał, biorąc najwidoczniej to wyjaśnienie za żart. A przecież wcale nie żartowałem, serio powiedziałem, jak jest.

Jerzy Andrzejewski

Czytelnicy piszą

Lawina chwały

Wiersz „Dla dorosłych” wywołał to, na co oczekiwaliśmy od dawna. Gorącą polemikę, ostrą dyskusję, mówienie sobie „prawdy w oczy” i to nie tylko na odcinku prasowym czy w świetlicy Nowej Huty, ale dosłownie wszędzie. W kawiarni, w domu, w zakładzie pracy. Fala zapalczywych protestów, gorących aplauzów wykażała jak żywo interesuje się całe społeczeństwo swoim najmłodszym miastem.

Ludzie z Nowej Huty nie boją się wcale prawdy i nie potrzebują, aby ktoś ich idealizował. Oni, którzy w ciągu kilku lat wybudowali takie miasto i kombinat, w tak trudnych początkach nie mogą być wcale anielscy ani zbudowani na wzór bohaterów przedwojennych powiastek dla grzesznych dzieci. Ani nie są tacy, jak to upraszcza i uogólnia jeden z literatów krakowskich, gdy pisze o Krakowie i Nowej Hucie. Z jednej strony świat zarłoczych rekinów i ubrylantowanych kokot odzianych w kosztowne futra, potem długo, długo nie, a z drugiej strony świat szlachetnych robotników mających pełne usta wzniosłych słów i poruszających się po świecie jak aktorzy pozytywni we współczesnej sztuce.

A ci z Nowej Huty byli często okropni i byli równocześnie wspólni. I nie rozumiem dlaczego niektórzy nie chcą widzieć ludzi normalnych, pracujących, szukających, błądzących ale równocześnie twardych, mocnych, pożytecznych, dążących do celu niby lawina popchnię-

ta ze szczytu, która wprawdzie po drodze i niszczy, i wyrwca stare głązy, i łobli głębokie ślady, ale... mimo wszystko jest to przecież lawina chwały.

Pracować w Nowej Hucie na samym początku jej budowy nie było wcale łatwe ani proste. Czy myślicie, że sam entuzjazm wystarczał? Gdy kładłam pierwszą cegłę na łasnie prowadzącą ją do góry, do murarzy, powtarzałam sobie bez ustanku: „Ja... buduję nowe miasto, ja buduję nowe miasto...”. I może było w tym nieco egzaltacji inteligentnego dziecka obdarzonego bujnością wyobraźni, które kojarzyło w swej głowie powstanie nowych grodów w zamierzłej przeszłości myślarz o Krakowie, Lechu, czy nawet... Kartaginie. Wszystko jedno, że były to uczucia nieco szkolne, ale równocześnie piękne i szlachetne.

Ala z dwa tygodnie bolały mnie bardzo ręce, na dloniach wyskoczyły pęcherze i nie bardzo mogłam już stać przy taśmie. Posłam do innej roboty, lżejszej a może nawet bardziej odpowiedniej, gdzie mój inteligentki i szczerzy entuzjazm mógł znaleźć lepsze zastosowanie.

Ala ci, co nosili ze mną cegły, pozostali. Któż to byli ci inni? Przeważnie dawni małorolni, ze wsi zajętych pod Nową Hutę, górale z dalekich, ubogich wiosek, służba folwarczna, która na pewno nie miała żadnych wspomnień sięgających Lecha czy Kartaginy.

Oni liczyli skrzętnie złotówki i schylił chętnie swe grzbiety przy-

zwyczajone do pracy na własnym waskim zagonie lub na pańskim i budowali... budowali, bez względu na to czy przypisywano im ten cały szereg wzniosłych uczuć, jakie rzekomo odczuwali dźwigając ciężary, wywalając łopatą bryły ziemi, czy wyciągając z trudem gumowe buty z grząskiego błota.

Przypominam sobie z tego okresu czasu cały szereg anegdotek, które jednak dobrze charakteryzują życie ówczesnej Nowej Huty.

— W świetlicy przemawiał mówca o sprawach bardzo wzniosłych, a gdy skończył bardzo gorąco zachęcał zebranych do dyskusji. Nieśwety, sala trwała w głębokim, uporczywym milczeniu. Nie pomagały słowa zachęty i perswazje. Wielka izba oświetlona małą naftową lampką w najdalszych kątach połączona była w zupełnym mroku i... milczała wciąż uparcie.

Prelegent nalega. Przytacza raz jeszcze w najśliszyszym skrócie swoje wysokie racje.

Wreszcie milczenie zostaje przerwane. W ostatnim rzędzie wstaje jakaś postać, której zarys ledwie majaczy w mroku.

— Czy mogę naprawdę zapytać o to, co dla nas jest najważniejsze?

— Oczywiście, że moście.

— A nie pogniwacie się panoczek?

— Nie, skądże!

— No to powiedzcie nam, czemu ta k... kucharka kradnie nam mięso, co to nam je przywoża do stołówki. Czy na taką cholere nie ma kary boskiej i ludzkiej?

Na twarzy mówcy ogromna konsternacja. Czy słusznie? Czy warunki bytowe nie były wówczas równie ważne a może nawet ważniejsze od prelekcji?

Albo drugi wypadek. Ciemny

deszczowy wieczór. Hotel robotniczy. Ogromna pusta świetlica przybrana kolorowymi afizami. Mimo to całość robi wrażenie smutne, zimne i niezachęcające. Za chwilę ma się odbyć odczyt o Kollataju. Świetlicywo zachęca osobiste mieszkańców hotelu, grzmiące słowa megalonu nie dają również lepszego rezultatu. Ludzie siedzą na przyściach, grają w karty, piją, palą, gawędzą. O Kollataju nikt nigdy nie słyszał i słyszeć nie chce. Prelegent nie może mówić do pustej sali. Wreszcie zniechęcony zbyt długim czekaniem chce odejść. Czeka jeszcze tylko na świetlicowego, aby przybił pieczęć, że jednak był, że chciał, że nie przyszli, że on nie winien.

Nagle w drzwiach rozlega się szybki tupot buciorów. Popychając się wzajemnie chłopcy wpadają do świetlicy i zajmują pospiesznie pierwsze rzędy ławek. Zastanawiający jest ten pośpiech i ta ich nagła obecność, ale ostatecznie to nieważne. Grunt że są.

Zaczyna się odczyt o Kollataju. Wprawdzie chłopcy nie okazują większego zainteresowania, a jednak nie wychodzą. Jeden ziewa, inny coś je, ale wytrzymują do końca.

Po zakończeniu pytam jednego z nich, co spowodowało tak nagłe zainteresowanie Kollatajem? Chłopak wzrusza ramionami.

— No cóż, zawsze człowiek się czegoś nauczy, a poza tym (moja twarz budzi widocznie jego zaufanie) pod kanytę zjechało auto z wedlinami. Szofer odszedł na chwilę, a chłopaki zweźdzyli koszyk z kiełbasą. Jeszcze by było na nas a my przecie byli w świetlicy... no nie? Sami możecie zaświadczyć. No nie? — mówi zajądając coś pełnymi ustami.

— Może to ta kiełbasa?... No nie? — A może ważniejsza była w danej chwili, niż odczyt o Kollataju? No nie?

— I czy nie podarujemy im tej kiełbasy... No nie?

— I czy ten chłopak nie zbudował miasta, o którym pisać będą poci wiersze?... No nie?

A teraz chcę jeszcze wrócić do tych folwarcznych co to robili na pańskim, prawie na tej samej ziemi, na której dziś budują kombinat i swoje miasto.

Któż może dorównać wytrzymałości ich pleców, które całe długie, skwarne godziny schylały się nad ciężkimi snopami zboża, ich płucem co cały dzień tykały kurz przy młocie, podając te same snopy w torkocą czeleści maszyn, która ani na chwilę nie może iść „pusto”, ich nogom, które wlokły się kilometrami po rozmiękłej ziemi w jesiennej porze za plugiem. Ich plecom co brały „naraz” 100 kg zboża, aby zanieść je do cudzego spichlerza.

Czyż możemy się dziś jeszcze dziwić, że ich edukacja jest nieco jałwostonna.

Cóż my im możemy przeciwstawić w owych dniach, gdy nowa Huta była jeszcze tylko obszarom rozdeptanego błota, kupą cegieł i kamienia, koleiną pełną brudnej wody poprzeryzaną rowami wzdłuż i wszerz.

Cóż byśmy wtedy robili bez ich twardych rąk, bez ich mocnych karków i nieposkromionych apetytów na nienajlepszą kiełbasę i podziwiany saleson, my z naszym wysubtelniwym entuzjazmem i delikatnością naszych uczuć?

Nie mierzymy czasu dawnymi pojęciami. Nowa Huta dziś i przed

(Dokończenie na str. 7)

KONSTANTY PAUSTOWSKI

ZŁOTA RÓŻA

Opowiadanie pierwsze

Płynąłem parostatkami po Prypecy wracając z miasteczka Czernobyl do Kijowa. Lato przepędziłem pod Czernobyłem, w zapuszczonym majątku generala w stanie spoczynku, Lewkowicza. Mój opiekun klasowy polecił mnie rodzinie Lewkowiczów jako korepetytora. Miałem przygotować generalskiego synka-dryblasa do dwóch jesiennych poprawek.

Stary dwór stał w dole, prawie na moczarskiej. Wieczorami dymiły wokół chłodne mgły. Zaby przekrzykiwały się w okolicznych mokradłach, zapach kwitnącego bagna przyparł do bólu głowy.

Rozbismurmanieni synowie Lewkowicza strzelali do dzikich kaczek wprost z tarasu podczas wieczornej herbaty.

Sam Lewkowicz, gruby, o siwych włosach i wylupiających czarnych oczach, nastroszony, siedział cały dzień w fotelu na tarasie i dyszał ciężko z powodu astmy. Niekiedy krzyczał ochrypłym głosem:

— To nie rodzina, to banda nugasów! Istna karcza! Wypędzę wszystkich do stu diabłów! Wydziedziczcie!

Ale nikt nie zwracał uwagi na jego chrypliwe okrzyki. Majątkiem i domem zarządzała jego żona — „madame Lewkowicz” — kobieta jeszcze nie stara, filuterna, ale bardzo skąpa. Przez całe lato chodziła w skrzyśniętym gorsecie.

Oprócz synów — nieponiósł Lewkowicz miał córkę — dziewczynę lat dwudziestu. Nazywano ją „Joanną d'Arc”. Od rana do nocy rozjeżdżała na swym szalonym dereszowatym ogierze, siedząc na nim po męsku, i odgrywała demoniczną kobietę.

Jej ulubionym słowem, które powtarzała zupełnie bezmyślnie, było: „gardze”.

Kiedy zostałem jej przedstawiony, wyciągnęła do mnie z konia rękę i patrząc mi w oczy rzekła: — Gardze!

Po czym siępiła dereszowatego ogiera, zaśmiała się tragicznie i pomknęła, rozpryskując wokół grudki błota.

Kiedy ojciec krzyczał na Joannę d'Arc i obiecywał wypędzić ją z domu za to, że „zadaje się z byle kim”, strzelała mu palcami pod nosem i odnawiała lekceważąco: — Gardze!

Z upragnieniem oczekiwałem chwili, kiedy będę mógł opuścić tę rozawdrzoną rodzinę. I doznałem wielkiej ulgi, gdy wreszcie usadowiłem się w bryczce na sianie przykrytym rogożem i kiedy stanęli Ignacy Łojola (w rodzinie Lewkowiczów wszyscy nosili historyczne przezwiska), a właściwie Iśnac, szarpnął za lejce z postronków i nożem za nogą powlekliśmy się w kierunku Czernobyla.

Zaledwie wyiechaliśmy za bramę posiadłości, ogarnęła nas cisza nieskopiennego lasu.

Do Czernobyla przybyliśmy dopiero o zachodzie słońca i zatrzymaliśmy się na noc w zajeździe. Parostatek późno! i się.

Właścicielem zajazdu był Żyd w starszym wieku, nazwiskiem Kuzszer.

Przygotował mi nocleg w małej izbie z portretami przodków — siwobrodych starców w jedwabnych jarmułkach oraz starszuch w perukach i czarnych koronkowych szalach. Wszystkie starszki miały zażawione oczy.

Od kuchennej lampki czuć było naftę. Zaledwie położyłem się na wysokim, zatechnym piernaku, że wszystkich szpar ruszyły ku mnie hurmami pluskwy.

Zerwałem się, ubrałem szybko i wyszedłem na ganek. Dom stał tuż przy piaszczystym wybrzeżu. Prypec polyskiwała przez mgłę. Na brzegu leżały deski i drzewo w sąkach.

Usiadłem na ławeczce stojącej na ganku i podniosłem kołnierz gimnazjalnego płaszcza. Noc była zimna. Dygotałem.

Na stopniach siedzieli dwaj nieznanymi mi ludzie. W ciemnościach nie mogłem rozróżnić twarzy. Jeden palił machorkę, drugi siedział zgarbiony, jakby spał. Z podwórza dochodziło głośne chrapanie Ignacego Łojoli, który położył się w bryczce na sianie; zadrósłem mu teraz.

— Pluskwy? — zapytał dyszkantem człowiek palący machorkę. Poznałem go po głosie. Był to mały chłopiec, który w kaloszach na bosych nogach. Kiedy przyjechaliśmy z Ignacem Łojolą, on nam otworzył brame i zażądał za to 10 kopiejek. Dałem mu dziesiątkę. Kuzszer zauważył to i krzyknął przez okno:

— Wynoś się z mojego podwórza, żebraku! Tysiąc razy trzeba ci to powtarzać.

Ale człowiek w kaloszach nawet nie obejrzał się na Kuzsiera. Mrugnął do mnie i powiedział:

— Słyszal pan? Każda decha parzy mu rękę! Zdechnie z tej chciwości, niech pan zapamięta sobie moje słowa!

Kiedy spytałem Kuzsiera, co to za człowiek, ów odpowiedział niechętnie:

— Ach, Jasek! Pomylny. No, ja tak myślę: jak nie masz z czego żyć, to przynajmniej szanuj ludzi.

A nie spoglądaj na nich jak król Dawid ze swego tronu.

— Za te pluskwy pan jeszcze dopłaci Kuzszerowi! — rzekł Jasek przeciągając się; dojrzałem zarost na jego policzkach. — Jak człowiek raz się dorwie do bogactwa, to już niczym się nie brzydzi.

— Jasek! — nieoczekiwanie powiedział głuchym i gniewnym głosem zgarbiony mężczyzna. — Dlaczegoś ty zgubił Chrystię? Dlaczego? Drugi rok już nie śpisz. Drugi rok!

— Przecież to trzeba nie mieć za grosz rozumu, Nikiforze, żeby mówić takie brzydkie słowa! — ze złością zawołał Jasek. — Ja ją zgubiłem!... Idźcie do waszego świątobliwego ojca Michała i zapytajcie, kto ją zgubił! Albo do naczelnika policji, Sucharenki.

— Dziecina moja! — powiedział z rozpaczą Nikifor. — Na wieki zaszło moje słoneczko za błotami.

— Dość tego! — krzyknął na niego Jasek.

— Panichidę odpraw! — i tego nie wolno! — rzekł Nikifor nie słuchając Joska. — Dotrę do samego metropolity w Kijowie. Nie ustąpię, póki się nie zlituje.

— Dość tego! — powtórzył Jasek. — Za jeden jej włoskę oddałbym całe swoje parszywe życie. A wy mówicie...

Zapłakał nagle, powstrzymując łkanie i pochlipując. Ponieważ się wstrzymywał, z krtani jego wydobywał się cichy pisk.

— Płacz, głupi — spokojnie, nawet dobrotliwie powiedział Nikifor. — Gdyby nie to, że Chrystia kochała ciebie, myszuresa zatrąconego, zrobiłbym z tobą koniec. Wziąłbym ten grzech na swoją duszę.

— Zróbcie koniec! — krzyknął Joska. — Proszę bardzo! Może bym

tego właśnie pragnął. Wolałbym już gnąć w mogile!

— Byłeś głupi i zostałeś głupi — ze smutkiem odparł Nikifor. — Skoro wrócę z Kijowa, zrobię z tobą koniec, żebyś mi nie ranił więcej serca. Całkiem zszedłem na dziady.

— A komuśże chałupę zostawił? — zapytał Jasek przestając płakać.

— Nikomu. Zabiłem drzwi deskami — i poszedłem! Potrzebna mi teraz ta chałupa jak umarłemu tabak!

Słuchałem tej niezrozumiałej rozmowy. Nad Prypecią podnosił się wiatr mgły. Wilgotne deski wydzielają przenikliwy, ostry zapach. W miasteczku ospale ujadają psy.

— Żeby człowiek chociaż wiedział, kiedy przywlecze się ta diabelska makutra, ten parostatek! — ze złością powiedział Nikifor. — Wypili byśmy. Józefie, ćwiarteczke. Lżej by się człowiekowi zrobiło na duszy. Tylko gdzie jej teraz szukać, tej ćwiartki.

Owinąłem się płaszczem i zapałem w drzemkę przytuliwszy się do ściany.

Rano statek nie przyszedł. Kuzszer powiedział, że zatrzymał się gdzieś na noc z powodu mgły i nie ma się czego denerwować — tak czy owak statek postoi w Czernobylu kilka godzin.

Napiłem się herbaty. Ignacy Łojola odjechał.

Z nudów poszedłem przejść się po miasteczku. Sklepniki na głównej ulicy były otwarte. Biła z nich woń śledzi i mydła do prania. Nad drzwiami zakładu fryzjerskiego wisiał na jednym gwoździu zarzewiały sztydł; w drzwiach stał pielęgnaty fryzjer w kitlu i gryzł pestki.

Z braku lepszego zajęcia wstąpiłem, by się ogolić. Fryzjer wzdychając namydlił mi policzki chłodną pianą i obczył wszystkich

prowincjonalnych fryzjerów rozpoczął delikatny wywiad, ktem zaczął i po co przyjechałem do miasteczka.

Nagle za oknem po chodniku z desek przebiegło gwizdząc i pokrzykując się kilkoro dzieci i znajomy głos Joska wykrzyczał:

Nie budźcie ja dziańska piosenką Kochanki mojej ze snu.

— Łazar! — zawołał zza przepleczenia kobiecy głos. — Zamknij drzwi na zasuwkę. Joska znowu pijany. Cóż to się dzieje, mój Boże! Fryzjer zamknął drzwi na zasuwkę i zasłonił okno.

— Jak zobaczy kogoś w fryzjerni — wyjaśnił wzdychając — zaraz wchodzi i zaczyna śpiewać, tańczyć i płakać.

— Co mu się stało? — zapytałem. Ale fryzjer nie zdążył odpowiedzieć. Spoznał przepierzenia wyszła młoda potargana kobieta o zdziwionych, błyszczących ze wzruszenia oczach.

— Posłuchaj pan, panie klient! — rzekła. — Po pierwsze, dzień dobry. A po drugie, Łazar nic nie potrafi opowiedzieć, bo mężczyźni nie są w stanie zrozumieć kobiecego serca. Co takiego?! Nie kręć głową, Łazar! Więc niech pan słucha i dobrze zastanów się nad tym, co panu powiem. Żeby pan wiedział, na jakie piekło decyduje się dziewczyna z miłości do młodego człowieka. — Maniu — rzekł fryzjer. — Nie unos się.

Głos Joska dochodził już z oddali:

Kiedy umrę przyjdzie czasem Na mój grób malutki, Przynieście peto klebasy I butelkę wódki.

— Jakież to okropne! — rzekła Mania. — I to Joski! Ten Joska, który powinien był kształcić się w Kijowie na felczera, syn Pesi, najlepszej kobiety w Czernobylu.

Chwała Bogu, że nie dożyła takiej hanby! Czy pan rozumie, jak musi kobieta pokochać mężczyznę, żeby pójść przez niego na tortury?

— Co ty gadasz, Maniu! — zawołał fryzjer. — Przecież klient nic z tego nie rozumie.

— Był raz u nas jarmark — mówiła Mania. — Na ten jarmark przyjechał spod Karpiłówki gajowy Nikifor, wdowiec, ze swoją jedynaczką Chrystią. Ach, gdyby pan ją widział. Rozum by pan stracił. Powiadam panu — oczy miała błękitne jak to niebo; a warkocze jasne, jakby je plukała w złocistej wodzie. A wdzięczna była! A delikatna, jak nie wiem co! Jak ją Jossek zobaczył, zaniemówił. Zakochał się. No, w tym, powiem panu, nie ma nic dziwnego. Sam cesarz, gdyby ją zobaczył, usechłby z miłości.

Dziwne jest to, że ona jego pokochała! Pan go przecież widział? Niziatki jak dzieciak, cały rudy, głosik cieniutki, i wszystko robi jakoś dziwnie. Jednym słowem, Chrystia porzuciła ojca i poszła do domu Joska. Pan by zobaczył ten dom! Spodobalby się panu. Kozie byłoby w nim ciasno, nie tylko im troję. Tyle tylko, że czysto. I co pan na to? — Pesia przyjechała jak udzielną księżniczkę. Chrystia żyła z Joskiem jak żona, a on, Jossek, taki był wesoły, promieniał jak latarnia. A czy pan wie, co to znaczy kiedy Żyd żyje z prawosławną dziewczyną? Przecież oni nie mogą dostać ślubu. Całe miasteczko gdało jak sto kwok. Wtedy Jossek postanowił się ochrzcić i poszedł do cerkwi do ojca Michała. A ten mu powiada: „Najpierw trzeba się było ochrzcić, a potem psuć chrześcijańską dziewczę. Tyś zrobił na odwrot i ja tobie, jerozolimski szlachcicu, bez zezwolenia metropolity ohrztu nie dam”. Jossek przezwiał go brzydkim słowem i poszedł. Wtedy wtrącił się rabin,

nasz rebe. Dowiedział się, że Jossek chciał się ochrzcić, i wyklął go w synagodze do dziesiątego pokolenia. Do łgr jeszcze przyjechał Nikifor, całą noc leżał u stóp Chrysti, błagał, żeby wróciła do domu. A ona tylko płakała — i za nic nie chciała wrócić. No, ma się rozumieć, dzieci ktoś namówił. Jak tylko zobaczył Chrystię, zaraz w krzyk: „Hej, Chrystia koszerka, chcesz kawałek tręfnego mięsa?” I pokazuje jej figę. Na ulicy wszyscy oglądają się, gapią się za nią, śmieją się. A czasami ktoś rzuci w nią zą piątą grudką nawozu. Cały dom cioci Pesi wysmarowali dziegiem — wyobraża pan sobie coś takiego?

— Oj, ciocia Pesia! — westchnął fryzjer. — Cóż to była za kobieta!

— Poczekaj, daj mi mówić! — ofuknęła go Mania. — Rabin wezwał do siebie ciocię Pesię i powiedział: „Tyś wpuściła rozpustę do swego domu, Pesi, córko Izraela. Tyś złamała przykazanie boskie. Ja rzucę za to kłótwę na twój dom, a Jehowa pokarze cię jak sprzedającą kobietę. Posyp popiołem swoją siwą głowę”. I wie pan, co ona mu na to odpowiedziała? „Wyscie nie rabin — powiedziała. — Wyscie stojkowi! Ludzie kochają się nawzajem i wara wam od nich z waszymi tłustymi od smalcu łapami!” Splunęła i wyszła. Wtedy rabin także na nią rzucił kłótwę w synagodze. Oto, jak u nas potrafią mordować ludzi. Tylko niech pan tego nikomu nie powtarza. Całe miasteczko o niczym nie mówiło, tylko o tym. Wreszcie Joska i Chrystię wezwał do siebie naczelnik policji Sucharenko i powiedział: „Ciebie, Joska, oddaję pod sąd za bluźnierstwo i obrazę duchownego prawosławnej cerkwi, ojca Michała. Już ty zakosztujesz u mnie katorgi. A Chrystię siłą zwrócę ojcu. Daję wam trzy dni do namysłu. Wyście mi tu rozbalamucili cały powiat. Przez was ja otrzymam naganę od pana gubernatora”.

Wtedy ten Sucharenko wsadził Joska do kozy — potem mówił, że chciał go tylko nastraszyć. I niech pan zgadnie, co się stało! Pan mi nie uwierz, ale Chrystia umarła ze zgrzyoty. Nie można było na nią patrzeć, porządnym ludziom po prostu serce stawało w piersi. Przez kilka dni płakała, a potem zabrało jej łez, oczy wyschły i nic nie jadła. Tylko prosiła, żeby jej pozwolić widzieć się z Joskiem. A w samą Jom-Kipur, w Sądny Dzień, usnęła. Leżała taka białusienna i zaczęła, pewną dziękowała Bogu, że ją zabrał z tego paskudnego życia. Za co Bóg ją tak skarał, że musiała pokochać tego Joska? Niech pan powie, za co? Czyż mało innych ludzi na świecie? Joska Sucharenko zaraz wypuścił, ale on stał się całkiem psychiczny; od tego dnia zaczął pić i żebrać na kawałek chleba.

— Ja na jego miejscu wolałbym umrzeć — rzekł fryzjer. — Wpakowałbym sobie kulę w łeb.

— Patrzcie co za bohater! — zawołała Mania. — A jak przyjdzie co do czego, to będzie omijał śmierć na sto wiorst. Pan nie ma pojęcia, jak miłość może spalić na popiół kobiece serce.

— Czy kobiece, czy męskie, cóż to za różnica! — rzekł fryzjer wzruszając ramionami.

Wyszedłszy od fryzjera udałem się do zajazdu. Ani Joska, ani Nikifora nie spotkałem. Kuzszer siedział przy oknie w wytartej kamizelce i pił herbatę. W pokoju brzęczały głośno wielkie muchy.

Malutki parostatek przybił do brzegu dopiero pod wieczór. Zatrzymał się w Czernobylu do nocy. Dostałem miejsce w saloniku na kanapie obitej zniszczoną ceratą.

W nocy znowu spadła mgła. Statek przywarł dziobem do brzegu i tak stał do późnego ranka, dopóki nie rozwiłała się mgła. Nikifora na statku nie znalazłem. Prawdopodobnie upił się razem z Joskiem.

*

Opowiedziałem o tym wydarzeniu tak szczegółowo, gdyż wróciwszy do Kijowa natychmiast spaliłem zeszyty z moimi młodzieńczymi wierszami. Bez żalu przyznaję, jak rozspisywałem się w popiół wyszukane frazesy, jak gineły bezpowrotnie „pieniste kryształki”, „niebiosy z szafiru”, tawerny i tancerki cygańskie.

Otrzeźwienie nastąpiło od razu. Okazało się, że miłości towarzyszy nie „męka umierających lilii”, lecz grudki nawozu, którymi obrzucano piękną, kochającą kobietę.

Gdy tak rozmyślałem, przypomniały mi się słowa: „Okrutny czas, okrutne serca” i postanowiłem napisać swoje pierwsze, jak je nazywałem w duchu — „prawdziwe opowiadanie” o losie Chrysti.

Długo, męczyłem się nad nim i nie mogłem pojąć, dlaczego spod mego pióra wychodzi, mimo tragicznej treści, mdły i bezbarwny utwór. Wreszcie zrozumiałem. Po pierwsze dlatego, że opowiadanie napisane było niemal w całości na podstawie cudzych słów; po drugie dlatego, że portany miłości — ysi pominąłem prawie zupełnie fałszywym małego miasteczka

(Dokończenie na str. 7)

JAN WYKA

W I E R S Z E

ODDAJCIE MU SZTANDAR

Osiedla o kremowym cieniu!

Drogi ogorzałe!

Bieżnie dla kół nasyconych czasem!

Silniki przynoszące ozon dalekich widnokręgów przyszłości!

Szkoły o oknach falujących raz pod sztormem, raz pod słońcem!

Przeźroczą szyb służące awanturniczemu podróżom

w gąszcz puszczy i wiedzy, wysokogórskim wyprawom po prometejski płomień idei i po male,

soczyste grono miłości przelatujące błędnym izotopem po młodzieńczych, nieulekłych arteriach.

Fabryki dalekie!

POM-y zaludnione traktorami i chrzęstem!

Między maszyną i kantatą brzoź podmiejskich,

wzdłuż witryn znużonych,

gdzie pokładły się pokosy książek

przechodzi chłopak

o oczach z płomienia szlachetnego winogrodu, gatunku nie notowanego przez pomologów.

Dla niego to wszystko zbudowali.

Dla niego tworzą, spierając się by lepiej i godniej.

On zaś zmarszczył brwi,

poprawia i przesuwając barwy,

wzmaga pośpiech kół,

przegania na dalekim lukiem niedostrzeżonego horyzontu i ciepłym promieniowaniem gwiazd.

Chciałem się z tobą, przodowniku nadchodzącego pokolenia, podzielić uśmiechem,

w nim sadzonka myśli i zmarszczka wzruszenia.

Dobrze, że patrzysz ostro i prosto w twarz,

dobrze że krzykniesz nad zalanym promieniem, ocieżała wyobraźnią i jadovitym słowem.

Nie ustępuj!

Wiesz, że słońce jest niewygasłe,

a gwiazdy zmienne jak chmury i zamiecie.

Wierz w światłość twoich źrenic

jak w okrzyk poległego za sprawę.

Przekazcie sztandar męziejącym dłoniom budowniczego.

Z TOBOŁKIEM DO MIASTA

Lato już siwieje, marszczy się.

Powietrze staje się łagodniejsze,

orzeźwia rosą i zadumą.

Pograniczny dzień jesienny

jest jak przeczytana powieść

o batwach nieco wytartych,

a mimo to cenniejszych, treściwszych.

Teraz ci przyszło wejść do miasta,

dziewczyno wiejska, spod pięćsetletniej strzechy.

A tu kamień ciosany,

cegła krwista i krzysztalowa latarnia,

A tu z łąki wykoszony kreton, ze ściętych kwiatów jedwab.

Mnie niepokoił babie lato

godzące we wrzesień

i rozgwar kolorów,

odurzający twoje niewielkie, samorodne serce.

No cóż?

Miłość i praca są trudne, nie mniej dotkliwe i bolesne, niż przeskok od lata do jesieni.

Chciałem ci dać książkę.

Otworzyłaby ci na oścież drzwi fabryki,

prowadząc przez zawile korytarze

i nierówne schody hotelu robotniczego.

Balem się oczu twej rówieśnicy.

Dali jej tam łóżko rok temu.

Może przyszłej jesieni

opadnie twoja ciężka lza

wraz z łagodnym deszczem wrześniowym?

Chciałem ci dać książkę,

ale takiej książki nie ma w księgarni.

Sprzedają jeno piosenki,

kantyczki oślepięte nadmiarem słońca.

A ja nie jestem wróżbitą

ani kulpoterem wygranych losów.

PIERWSZY KROK

Miasto śpi jak ma córka, oddycha i дума, z wstągą chmur na miesiacu, skierki gwiazd we włosach, puch akacji pod głową, napięta lip struna, co grać może i nie chce, gdyż nocy nie sprostą.

Miasto straciło mowę, głuchonieme domy, oślepięte północą mimo czujki latarni, oparły się snu barkiem o mroku grzbiec stromy. To krok pierwszy, donośny figla ciszy splata.

Ten krok jest jak świt ulic tłumaczony brzękiem, jak dźwięk co twarz przyzywa i ujrzyć jej pragnie, w nim początek i światło. Brzeg dnia krokiem pęknie i jak córka na schodach dudniących przepadnie.

OSIWIĄŁA MŁODOŚĆ

Coś gore pod naskórkim, opętany żywioł, pąki w żyłach rozkwitły, mnożą ból i piękno. Nic, że blask się przygarbił, a polot osiwił, źródło myśli tlen tłoczy i podburza tętno.

Jak dobrze z wartkim prądem przeżyć dnia przełomy, (— tak łódź wpada Dunajcem w bramy i zakręty —), choć ranek jest przeleżący, wieczór szczytem stromym, a księżyc ostrzem myśli przez północ uciętym.

Gdy musuje swoboda, krok zagarnia przestrzeń i żona kocha cicho jak sad jabłka rodząc, ja swą miłość niewielką pod burzą umieszczę, by tlenem żyznym tchnęła osiwiła młodość.

ALEKSANDER TWARDOWSKI

Światło dla całego świata

Ostrą i twardą
Jesienią dojrzałą
W leśnym Przedurale
Gdzieś to widziałem.

Poprzez spadzisty
Zwał kamienisty
Przecieka w lasy
Kwie się jak wystrzał.

I jak rozległa
Ta przestętna siła —
Dymy i dymki,
Ruch, krzątanina.

Warkot motorów,
Ogień nie gasną.
Tabor — nie tabor.
Miasto — nie miasto

Echo tu górskie
Z gwarem się zlewa.
Warto popatrzeć —
Stańmy pod drzewa.

Koło wykopów
Ludzie i konie,
Z cyframi deski —
Czarne, czerwone.

Głośnieć i flaga
Łopocze w oczach —
Szumny, święteczny
Obóz robotczy.

Traktor i taczka,
Łom i manierka,
Chustka kobieca,
Czapka żołnierska.

Kombinezony,
Wiejskie kubraki,
Ludu tu pełno —
Kobiet jak maku.

Dziewczęta wkolo
W kurtkach watowych,
Ciężkie obuwie,
Chustki na głowach.

Z nimi w szeregu,
W trudzie surowym —
Mężatki dziarskie,
Żołnierskie wdowy.

Zamarzła glina
Pod łomem dzwoni.
Trud dla nich męskich
Nielatwy dłoni.

Lecz patrz, jak praca
Idzie im bystro,
Iskrami bryzga
Gruni kamienisty.

Lecz popatrz tylko
Na te dziewczyny:
Oczy się śmieją,
Zaczepne miny.

Ot, przez minutkę
Postoją prosto,
Pod chustki wetkną
Kosmyki włosów,

Twarze obetrą —
Znów za łopaty.
— Dosyć palenia,
Chłopy, chłopaki!

Głowy w wykopie
Równy z brzegami,
Słup niczym żuraw
Skrzypi nad nami.

Glina dobyta,
Głuda na grudzie.
— Bywajcie,
Bywajcie,
Kochani ludzie!

Ogarnij wzrokiem:
— I skąd ich tyle?
— A na budowę wspólną
Z tych wsi przybyli.

— Ależ kopiecie!
— Ano kopiemy,
Ano kopiemy,
Światło dla naszych
Wsi budujemy.

I powtórzone
Przez ust tysiące
Lecą po górach
Słowa gorące.

Słowa te dźwięczą
Nad krajem zbudzonym:
— Światło zaplonie!
— Światło zaplonie!

Po wsiach i szkołach,
W wiejskim świecie
I w całym świecie!
I w całym świecie!

Tłumaczył Jan Szczawiej

ZE STAREGO NOTATNIKA

(Dokończenie ze str. 1)

Węglińskiego. Tylko Budzyński nie może zasnąć.

— Brzuch mi boli, kiedy go słucham — mówi. (Z warszawskiego Powiśla zostało mu to „brzuch” — Co ten chłop wygaduje!

Bobiński broni Węglińskiego (zna go z Powstania Moskiewskiego).

— ...Ze czasem gada głupstwa?! W głowie mu się te nowe idee jeszcze nie ułożyły. A jego chłopcy chcą wiedzieć o co walczą i za co giną. I jedno wiedzą na pewno: że ich dowódca pierwszy pójdzie w bój.

— W boju go trzeba widzieć! — zapala się Bobiński. — Odważny? Mężny? On jest po prostu wściekły! Nic go nie obchodzi: zginie, czy nie zginie. „Gront, żeby tych drańców jonków z Kremla wykurzyć”.

Bobiński świetnie naśladuje wy mowę Węglińskiego. (sam zresztą też mówi „rekamy” i „nogamy”)

*

30 marzec. 11 w nocy.

Było posiedzenie kolegium Komisarjatu Ludowego Opieki Społecznej. Jak zły sen. Wysoka zimna sala. Długi, zielonym sukmem kryty stół. I wokół stołu obcisznięte w mundur, obwieszone orderami manekiny. Szyderczo — układne i oblesnie uniżone twarze. Typy z Sałtykowa — Szczedryna. (Dawna Rada Opiekuńcza pod protektorem samej imperatrycy była honorową synekurą dla emerytowanych generałów i byłych dostojników, których należało gdzieś umieścić). Jest naturalnie i „batuszka” z siwą brodą patriarchy i ciężkim, złotym krzyżem na szerokiej piersi. Wszystko tu zionie nieukrywaną wrogoscią; nawet długi ciemniejszy kwadrat na zielono złotej tapecie — ślad po usunięciu portrecie imperatrycy. Jakiś śmieszny Piotr Gawryłowicz w wytartym tuzurku z siwą bródką i łoskotnie żółtą twarzą czyta zaskakującym głosem długie sprawozdanie; stan finansowy Komisarjatu Opieki Społecznej. W końcu wymienia astronomiczną cyfrę zaległych od trzech miesięcy plac pracowników Komisarjatu oraz personel instytucji dobroczynnych w 14 guberniach, nie licząc pensji emerytów i innych podopiecznych.

Kiedy skończył, Budzyński udzielił głosu młodemu prawnikowi, Ołdze Czerniak, przyjętej niedawno do pracy. (Wraz z dr Funkiem, lekarzem, również młodym, stanowią oboje zaczętek Wydziału Dzieci „moralnie zaniedbanych” w Komisarjacie Ludowym) i są jedynymi żywymi ludźmi w tym zgromadzeniu mamutów. Olga Czerniak próżno ścigała czarne brwi i zagryzała wargi ocienione lekkiem puszkim. Ze skąpego opisu zwiędzonych przez nią przytulików „dobroczynnych” bila groza. Wszędzie personel sabotuje; dzieci pół nagie, w nieopalanym lokalach, nie widzą prawie ciepłej strawy. Wszędzie brud, choroby, zaczynają się epidemie. Trzeba ratować dzieci...

Usiadła, wyciągnęła chusteczkę i ukryła w niej twarz...

Kilka razy w ciągu jej przemówienia spoglądałam na Budzyńskiego i widziałam, że z trudem panuje nad sobą.

Ale przemówił spokojnie, nawet zimno.

— Pierwszy referent czytał nam tu cały akt oskarżenia w stosunku do Rządu Sowieckiego. Słyszeliśmy jaką to olbrzymią sumę zaległych plac winien jest Rząd Sowiecki pracownikom Komisarjatu i personelowi niezliczonych instytucji „dobroczynnych”.

A pote usłyszeliśmy inne sprawozdanie. Zobaczyliśmy, jak wypełniali swe obowiązki pracownicy, jak pracowali personel, któremu powierzono życie tysięcy bezdomnych sierot. Ujrzelśmy sabotaż zastoso- wany do bezbronnych dzieci, zrozumieliśmy ohydny zbrodniczy sabotaż... I... skończymy z sabotażem panowie! (Tu uderzył pięścią w stół aż podskoczyli ołowki).

Lenin powiedział: Kto nie pracuje, niech nie je. Kto szczerze pra-

gnie pracować z nami, tego całym sercem przyjmujemy i cenimy. Darmozjadów i wrogów rozpędzimy na cztery wiatry!

*

Wracaliśmy piechotą, żeby ode- tchnąć trochę powietrzem po tym ciężkim dniu.

Budzyński jeszcze nie ochłodził. — Nie pamiętam, co tam na- gadałem... — potarł czoło ręką i spojrzął na mnie z rozbrajającym uśmiechem. — Może powiedziałem nie to, co trzeba, ale cały się trzą- słem...

Pocieszyłam go. Bodaj, że właś- nie znalazł słowa, jakie mogły tra- fić do mózgów tej bandy. (włącznie z huknięciem pięścią w stół).

— A jednak trzeba będzie rozpę- dzić też wroga zgraje — rozmyślał głośno... — A skąd wziąć ludzi? Gdzie ich szukać?

Sprawę komplikowało przeniesie- nie stolicy do Moskwy.

Wszystkie Komisarjaty Ludowe są w trakcie reorganizacji. I wszę- dzie brak ludzi.

*

Ciemno już było, kiedy z Moskwo- rieckiej skręciliśmy na Wybrzeże Kremlo-wskie.

Tuż za mostem zaczynały się wy- sokie, żelazne sztachety.

Przysiedliśmy na podmurowaniu sztachet, zmęczeni długą drogą.

Odbyła dalekich światła wydłu- żały się i mknęły z falami wezbra- nej rzeki.

Budzyński zaczął opowiadać, jak na Radzie Komisarzy Ludowych błagał Lenina nieledwie że łzami, żeby cofnął tę nominację.

Tłumaczyłem mu, że jestem prosty robotnik, że nie nie umiem, nie uczynię się tych wszystkich rzeczy. A Lenin na to:

— Nikt z nas, towarzyszu Bu- dzyński, nie uczył się rządzić pań- stwem robotników i chłopów. A przysłał — niczego nie podziela- jesz. I patrzy mi w oczy z tym swoim chytrym uśmiechem. — Mu- simy się uczyć, towarzyszu Budzyń- ski, wszyscy musimy się uczyć!

— I co z nim zrobić?

Budzyński milczał chwilę, uśmie- chając się do jakichś swoich myśli.

— Wiedcie, co jest zadziwiają- ce? — odwrócił się do mnie — kilka takich słów Lenina i już się wie- rzy, że wszystkiemu podolemy, że nie nas nie zatrzyma. I z sabotażem też sobie poradzimy.

Zerwał się pełen nowej energii. Dopiero teraz zauważyliśmy, że siedzimy o dwa kroki od żelaznych wrót „Wspitatelnowo Doma”.

*

Niedziela 31 marca 10 wieczór.

Oba Staśki są na zebraniu par- tyjnym w „Drezdenie” (*). Węgliński wyjechał na miasto. Jego „chłopcy” śpią. W naszej „twierdzy” panuje cisza. Słychać tylko miarowe kroki wartownika na dziedzińcu. Co za dzień! Całe przedpołudnie jeździli- my po mieście: ja, Stasiak i Bu- dzyński.

W uszach dźwięczą mi jeszcze dzwony i dzwoneczki niezliczonych cerkwi (dziś jest Palmowa Nie- dziela starego stylu); w oczach mie- ni się różnobarwny tłum przelewa- jący się ulicami. Ulice i bulwary albo pną się pod górę, albo spadają w dół. Cała Moskwa szumi weso- łymi strumykami odwilży, wdzięczy się w słońcu niebieskimi, różowy- mi i złotymi domkami, bliższy kopułami cerkwi, czaruje niespo- dziewanym urokiem krętych zauł- ków, zacisznych parterowych pał- cyków.

Każda dzielnica Moskwy stanowi jakby osobne miasteczko. Bulwary linii tramwajowej A i B podwój- nym wieńcem zieleni wiążą kaprys- ne ulice.

„Kitaj-gorod”, wielka handlowa dzielnica, forteca moskiewskiego kup- ciewa, tworzy swoiste miasto, od- grodzone od reszty miasta wyso- kim, zębata, szarym murem — „Kitajskoj Stienoj”. Ten „mur chiń- ski” z tyłu hotelu „Metropol” do- chodzi aż do placu Teatralnego. Wyżej wznoszą się groźnymi basz- tami odwieczne mury Kremla; zło-

*) Hotel Drezden na Placu Skobiele- wa.

tem polyskują spoza murów dzie- siątki kopuł.

Nawet główne ulice, jak Ochot- nyy Riad, brukowane są kocimi łbami. Koło „Domu Związków” roz- siadła się szeroko, przegradzając uli- cę, różowa, przysadzista cerkiew. W każdym zaułku natykamy się na żółte, zielone i różowe cerkiewki, nie rzadko stojące w poprzek uli- cy.

Moskwa zapomniała już, kiedy by- ła stolicą. Była miastem bogatych kupców i podupadłych arystokratów. Niskie „osobniaki” odgradzały się zielonymi okiennicami od całego świata. Życie ciekło w nich leniwe, ospale, w jałgotliwym dźwięku dzwonów — życie wrogie wszyst- kiemu, co nowe. Ale to „nowe”... przyszło.

W ciche zaułki zasypane żółtymi liśćmi uderzył grzechot salw karabi- nowych, plosząc stada kawek z omszałych dachów cerkiewnych. Mi- ła, przytulne place i ulice zatętniły głucho pod krokami uzbrojonych robotników.

Robotnicze przedmieścia weszły w centrum miasta.

W byłym pałacu gubernatora za- barykadował się sztab Rewolucji: na placach i ulicach wyrosły bary- kady. Aż nadśledził dzień, kiedy sal- wy armatnie uderzyły w odwieczne mury Kremla.

*

Wiosenne słońce z brutalną szcze- rością obnaża szczerby, rany i dziu- ry w białych ścianach „Metropo- lu”. W zębata murze Kremla wi- dać jeszcze szeroki wyłom, przez który wdarł się oddział Węglińskie- go.

Na placu Skobielewa*) wysiada- ły z auta. Różowy, zdobny w bia- ły gzymsy pałac — siedziba „Mos- sowietu” — cały jest podziurawio- ny przez kule. Tu mieścił się sztab powstania — Moskiewski Komitet Wojskowo-Rewolucyjny.

— Junkrzy bombardowali tu nas ze wszystkich stron — mówi Bu- dzyński — „...i od Ochotnowo Ri- ada, ze Strastnego placu i z Gniezd- kowskiego Zaułka...”

— Powiedz od razu, że na sa- mym początku zrobiliśmy sporo gaff — wtrąca chmurnie Bobiń- ski.

— Zaczęliśmy dobrze — upiera się Budzyński. — Zaraz pierwszego dnia nasz 56-ty pułk zajął Główny Telegraf i Kreml. Mnie właśnie posłano na Zamoskworcie do ko- szar po 56-ty pułk.

Teraz dopiero dowiedziałem się, że Budzyński służył w wojsku. Po uwolnieniu z więzienia (uwolniła go Rewolucja Lutowa) stanął się w Mos. Kom. Partii bolszewików. — Co mam robić? — Idźcie do armii — mówią mi. Kiereński wzywa więź- niów politycznych, aby wstępować do armii. Musimy to wykorzystać. Budzyński dostał się do 56-go pułku.

— Naturalnie nie wystrzelilem ani jednego naboju — opowiada z hu- morem. — Ochryplem za to od ga- dania, bo 56-ty pułk wiecował od rana do wieczora. W rezultacie prze- szedłem do Rady Żołnierskiej z tego pułku i przed powstaniem by- łem przewodniczącym tej Rady. Ze- raz skoro się tylko zjawilem, to- nierzeto otoczyli mnie. Na wiadomość o powstaniu, od razu rzucili się do karabinów. Ale oficerowie z rewol- werami w rękach stanęli we drzwiach. Ani się obejrżeli, jak ich rozbrojono i zamknięto na klucz. Żołnierze do mnie: — Prowadź Budzyński!

— A ja nie znam wojskowej ko- mendy. Na szczęście znalazł się Kroszka, podoficer. Nie zname Kroszki? — zwrócił się do mnie. — No więc wyobraźcie sobie: ogromny, barcysty chłop z okrągłą, dziobatą twarzą... i przy nim ja, cienki jak bądył. I tak kroczymy, a za nami wali cały pułk.

— Ja po cichu mówię Kroszce, jak- kie obiekty musimy zająć, a Krosz- ka tubalnym głosem rzuca wojs- kową komendę, wymieniając ba- taliony. Tak zajęliśmy Główny Telegraf i Kreml.

— Ale nie umieliśmy ich utrzy- mać — dodaje Bobiński — byłem Komisarzem Komitetu Rewolucyjne- go Suchareńskich dzielnicy i wiem, ile ofiar kosztowało nas ponowne zdobycie Telegrafu i Telefonu.

Idziemy dalej Twierską i skręca- my na bulwar Twierski.

Bobiński wskazuje mi wielki, czteropiętrowy gmach — siedzibę byłego naczelnika miasta.

— Powinniśmy byli od razu za- jąć ten dom. Nie zrobiliśmy tego. Później ta wraza forteca za ple- cami dała się nam mocno we znaki. Przez oba zaułki Gniezdikowskie junkrzy walili w nasz sztab. Trze- ba było szturmować zdobywać ten dom. Co tu gadać — machnął ręką — zapomnieliśmy o najważniej- szej rzeczy. O tym, co mówili Marks i Engels, co wciąż powtarzał Lenin — że „powstanie jest szta- ką”. Nie przygotowaliśmy należy- cie powstania.

— W Komitecie Rewolucyjnym mocno nam brzdziła mienszewicy. O tym też trzeba pamiętać — wstawia Budzyński.

— Bośmy im pozwolili brzdzić! — wybuchnął Bobiński. — Nie trze- ba się było z nimi patyczkować.

Porywczy ruszył naprzód.

Pociągnął go za rękaw.

— Staśku, pięć miesięcy minęło już od tego czasu, a ty awantu- rujesz się, jakby to było wczoraj.

Zatrzymał się. Błysnął ku mnie czarnymi oczyma.

— Myślę, że po pięciu latach bę- de się tak samo wściekał. Jedno mnie tylko pociesza — powiedział wesołym już tonem. — Jak w Warszawie będzie Rewolucja, nie

*) Dziś plac Sowiecki.

popelnimy już tych błędów. Co, Sta- chu?

*

Opisać tego całego dnia niespo- sób. Nocy by nie starczyło. Zapisz, co Stasiak mówił o „utrąconej wieżywie”.

Staliśmy właśnie na Czerwonym placu naprzeciwko Spasskiej bramy Kremla. W Kremlu najdłużej trzy- mali się junkrzy. Należało ich za wszelką cenę stamtąd wykurzyć. 29-go sprowadzono z Chomowników artylerię. 1-go listopada grzmiały już armaty w całej Moskwie. 2-go zdobyto „Metropol”, gmach „Pocz- ty” i wiele innych obiektów. Ale w Kremlu junkrzy się trzymali, choć strzelano do nich z armat z Szwieżej Górki. 2-go listopada usta- wiono dywizjon ciężkiej artylerii na Worobiniowych Górach i zaczęto wa- lić w Spasską Bramę. Głuchy grzmot pierwszej salwy przetoczył się nad Moskwą. Bobiński jeszcze teraz nie może mówić o tym spokojnie.

— To była najpiękniejsza muzy- ka dla nas wszystkich. — Zwiasto- wała koniec uporczywej, siedmio- dniowej walki.

— Można było wcześniej zmusić junkrów do kapitulacji bombardu- jąc Kreml z samolotów. Ale na to nasz sztab nie mógł się zgodzić, że- by nie uszkodzić zabytkowych bu- dowl.

— Byłem właśnie w Komitecie na Zamoskworieckim — przypomina sobie Budzyński. — Huk pierwszej salwy poderwał nas wszystkich na nogi. Ludzie ścisali sobie ręce. Ko- niec kontrorewolucji!

Kiedy się już obaj nagadali, Bo- biński powiedział z iskrkami w oczach:

— A teraz chodźcie, coś wam po- każe.

Zaprowadził nas przed cerkiew Wasyla Błażennowa, tuż obok, na Czerwonym placu. (Już przed tym pokazywał mi to „niesamowite cu- do architektury”, jak mówił. A te- raz usilnie kazał mi obejrzeć jak- ąś utrąconą wieżęwie „z lewej strony”). — Widzisz? — pytał.

Udawalem, że widzę (tych wież- czek jest cały las!).

— Nie wiadomo, która z kolei sal- wa utrudziła tę wieżęwie — objaś- niał z humorem — ale cudownym jakimś sposobem już na drugi dzień dowiedział się o tym Lunaczarski w Piotrogradzie.

Jak burza wpadł do gabinetu Le- nina w Smolnym:

„Albo przewrócić w tej chwili bombardowanie Kremla, albo wy- stępować z Komitetu Centralnego!”

Na to Lenin spokojnie:

„Bombardowanie przerywamy, jak junkrzy się poddają”.

„W takim razie dziś występuję z KC!” porwał się Lunaczarski.

A Lenin drwiąco mruży oczy:

„Cóż? ...Występujcie...”

Bobiński poczekał, aż przestanie- my się śmiać.

— Ja też się śmiałem, kiedy mi to w Pitrze opowiadał Dzierzyn- ski. — Ale — zachmurzył się — teraz wcale nie uważam, że to jest zabawne. Pomysleć tylko: Luna- czarski, stary członek partii, przyja- ciel Lenina, marksista, wszechstron- nie wykształcony człowiek, i na- raz — jakaś „utrącona wieżęwie”!

— „drogocenny zabytek” przesia- niu ma całą Rewolucję. Czy to nie jest groźny symptomat? Czy aby — zmarszczył brwi — w każdym in- teligencie, w każdym z nas — popa- wił się — nie tkwi taka wieżęwie, która w decydującej chwili prześto- ni nam najistotniejszą sprawę, zma- ci jasność myśli i marksistowskie widzenie świata?

I żartobliwie już dokończył:

— Strzeżmy się „zabytkowych wieżęwie”!

*

(Opowiadanie Budzyńskiego w po- wrotnej drodze):

— Trzeciego listopada cały dzień tkwiłem się po mieście od jednego Komitetu do drugiego. Wróciłem już późno w nocy. Zwałem się na ku- pę worków i zasnąłem od razu, po- mimo huku armat. Rano budzę się... cisza...

Zrywam się przerażony. A Ziem- laczka*) klepie mnie po ramieniu:

— Teraz możesz spać, Budzyński, Zwyciężyliśmy. Kreml zdobyty.

*

Już 12. A ja zamiast pisać sie- dzę nad tym dziennikiem, kropiąc go łzami. Głupie matczyne serce! Napisałam to słowo „Warszawa”.

I ten dzień wiosenny, plawiący się w słońcu i bohaterski obraz Pow- stania, w opowiadaniach ich obu — wszystko stało się nierealne. Re- alne tylko jest dziecko, śpiące w tej chwili w straszliwie dalekiej Warszawie, w łóżeczku z siatką, w sypialni dziadków. Ciągle jeszcze przeżywałam tamtą chwilę pożegna- nia. Trzymam w ramionach moją dziewczęcęczkę różową, ciepłą, ki- dy obejmując rączkami moją szyję powtarza przekornie: „po-po-po-po- jutrze przyjedziesz!”

W kusej koszulce skacze po łó- żeczku przyspiwując: „po-po-po-po- jutrze?” Krótko obcięte ciemne leciutkie włosy unoszą się jak płó- ka. I znowu pada mi na szyję: „po- po-po-po-” zachłystuje się ze śmie- chu. Bawi ją to nowo-wymyślone takie długie słowo. Jakże się od niej oderwać?... Sześć tygodni i żadnej wiadomości. A może jest chora? Nie myśl! Nie pozwalam sobie myśleć! Jest pokój z Niemca- mi. Ludzie jadą do kraju. Może za miesiąc, za dwa?

Słychać sygnał samochodu. Już wracają.

Helena Bobińska

*) Ziemlaczka — stara bolszewiczka, członek Komitetu Rewolucyjnego pod- czas powstania.

LEON KRUCzkowski

KORDJAN I CHAM



Nowe, XIV wydanie

ilustrowane, w oprawie pięć.

Stron 246

Zł 9.—

NAKŁADEM
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Wczesnym rankiem obudził nas wesoły rumor powracającego od- działu.

Węgliński zapukał do drzwi.

Był bez czapki. Płowe kosmyki lepiły mu się do czoła.

Dziobata twarz pociemniała jak- by osmalona dymem... za pasem sterczał mauzer.

— Zdobiliśmy jeden „osobniak” — z podniecenia mazurek! bardziej niż zwykle — i porabialiśmy „szpory” tych gadów.

Spojrzał... Zorientował się, że o- boje jeszcze leżymy.

— Co wy? Dzień już! Wstawaj- cie i przychodźcie na śniadanie. Znajdzie się coś nie co — mruknął filuternie. — Tylko przedko!

I wyszedł postukując laską.

Budzyński pastwił się nade mną:

— A nie mówiłem, że Moskwa to też front?

*

Znowu bojowa noc. Jesteśmy obo- je tacy zmęczeni, że zasypiamy w połowie patetycznego przemówienia

*) Dziś ulica Worowskiego,

Zpotężnym bólem głowy wrócił Antoni Józko z prywatnego przyjęcia w gospodzie obywatela Markitona, w której spędził kilka godzin przy winie, wódce i kartach. Drzwi kuchni zamknął tak cicho i szczerlinie, aby mu nikt, nawet ulubiony syn, czternastoletni Jurek nie śmiał zakłócić spokoju, usiadł przy stole, zdjął z kredensu jakieś stare gazety, odłożył je i zaczął z tępym uporem wpatrywać się w pustą przeszytą za oknem. Czuł najwyraźniej, że nadechodzą ataki nirwana chronica...

Panował nierzym niezamącony spokój. A jednak w zatekłej ciszy pawłowiickich świetlic, wśród oschłych uderzeń kościelnych dzwonów, w zapłajczonych strofach „Deutschland, Deutschland über alles”, rozdzierającej, zniecałkującej ciszy nocy, było coś co podniecało do wolania o pomoc...

Nauczyciel Józko przyjechał do Pawłowic z żoną i czworgiem dzieci gdzieś na początku lat pięćdziesiątych i przez dłuższy czas korzystał z sublokatorskiego pokoiku w willi artysty-rzeźbiarza Dzidziebly, myśląc o postawieniu w przyszłości własnego kąta. Mówiono podówczas we wszystkich centralnych urzędach o konieczności pracy polityczno-wyjaśniającej w różnych lasach i mokradłach, wskazywano na rozprężenie i batagan w gospodarce i administracji, na awanturnicze zdejmowanie krzyży ze szkół, brano w opiekę autochtonów, którzy tracili stanowiska państwowe na rzecz różnych bubków, kacyków i szalbierzy, wzywano do rugowania pozostałości niemieczyny wśród tubylczej ludności Śląska. Józko posłuchał agitatorów. Przybył do Pawłowic odważny, halsliwy, z umysłem rozwidnionym zora niewielu wprawdzie, ale za to nadzwyczaj pożytecznych myśli, tudzież bez grozła w kieszeni. Pawłowice — malutka, zagubiona między faktoriarni wieś śląska, wydawała mu się owym miejscem do pracy szczęśliwej, o jakiej marzył niegdyś przed laty paradując z czerwonym kokardonikiem w kłapie odświętnej marynarki na pierwszomajowych promenadach, a potem w Oświęcimiu — wydawała mu się ziemią bajeecznie urodzajną, pełną dobrych ludzi, nieruszoną. Tu chciał zacząć wszystko od nowa... Było coś potężnego w tym człowieku, że po tylu zawodach, zawsze pełen ufności, niezłomnie wierzył w swoje życiowe credo. Owe credo to cały sens filozofii Józki — nauczyciela, filozofii mocno liberalnej, ubogiej w naukowe terminy, ale bezgranicznie uczciwej. Principium divisionis tej filozofii było uznawanie jedynej świętości nietykalnej: ustroju socjalistycznego, wszystko inne zaś stanowiło dla niej wielkości względne, które mogły być dobre lub prawie całkiem złe. Stąd Józko stale doszukiwał się przy jakiegokolwiek bądź ocenie elementów „złego” i „dobrego” i układał z tych elementów proporcje. Stąd — zawsze z uporem maniaka — domagał się całej prawdy do końca, o sytuacji w Polsce, na wsi śląskiej i zagranicą, choćby prawda ta miała być przykra do utraty zmysłów lub radosna do lez. Bał się jednostronności... Nienawidził tych, którzy kłamali w przekonaniu, że najlepiej służą sprawie.

Z takimi zasadami nigdzie nie mógł zagrzeć miejsca na dłużej i szedł przez życie samotny, bez przyjaciół, tylko stale obrywał cieżko to z lewa, to z prawa. Zanim trafił do Pawłowic, błąkał się po kilku miastach, za krytykę person wysoko postawionych stracił dwie dobre płatne posady, dom miał zawsze pełen „babskiego gadania”, kilka razy z tytułu zniewag osobistych grożono mu prokuratorem i przeprowadano, że za ten jego charakter przyjdzie mu zemścić z głodu. W gronie nielicznych znajomych przewyżano go „idjalistą”, sympatycznym dziwologiem i pokpiwano, że się odzwyczaja od wygód i jedzenia dla jakiejś małej wdzięcznej idei, która bardzo wygodnie rozgrzesza niedostatek i lachmany magicznym pojęciem o poranku nowego ustroju i obiecuje złote rąka dla następnych pokoleń.

Jak powiedziałem, Józko chciał w Pawłowicach zacząć wszystko na nowo, i nie ma w tym ani trochę przesady. W pierwszym zaraz roku po osiedleniu się w Dzidziebly wstąpił do partii, został agitatore Frontu Narodowego i wydał niebezpiecznie wojnę najpoważniejszemu potentatowi miasteczka: przewodniczącemu rolniczego zrzeszenia spółdzielczego „Postęp”, dyrektorem PGR-u i kierownikiem szkoły siedmioklasowej Hawlickiemu, oraz zadarł z „szara eminencją” Pawłowic, niejakim obywatel Markitonem, który — choć prowadził prywatny lokal z wyszynkiem — miał w partii mir tak wielki, że się go wszyscy bali. Owi przywódcy duchowi miasteczka eksploatując sytuację (do pszczyńskiego komitetu partii był ładny kawalek drogi) obróśli w piórka, w filcowych kaszkiełach zsumietych na oczy i w reniferowych rekawiczkach chodzili w letnie niedziele do kościoła, wylegali się do południa w luksusowych sypialniach, mieli pokoje z perzówymi meblami o kontrastowych kolorach i dziwnych stylach, wieczorem grali w karty u Markitona, mało o to dbając co się w Pawłowicach dzieje.

A partia? Ktoż to jest ta partia w Pawłowicach? Jeden urzędnik, drugi urzędnik, trzeci urzędnik — w sumie towarzystwo starych inteligentów, ślamazarnych, chwiejnych, nienawidzących dyscypliny jako osobistej niewoli, wynajmających przesad, że chłop jest głupi, robotnik dojeżdżający do Fabryki Sygnałów, czy do sztybu północnego na kopalni „Boże Dar” — jest zmechny, a więc obaj do partyniej roboty się nie nadają. Na dnie wszystkich wynurzeń któregośkol-

wiek inteligenta z Pawłowic dźwięczy jeszcze do dziś owa mieniąca się jednolita nutka krzywdy... przesłady się ich, dusi, zaszczuwa... a oni dziwnie na rzecz, ładnie chodzą ubrani, jedzą kołacze, kielbasy i chochrałce...

Józko postanowił działać sam. Gay perswazje skierowane do przewodniczącego spółdzielni „Postęp”, pełne wykrykniów: „jak to być może, by tyle ziemi leżało odłogiem, by omiły w spółdzielni przeprowadzono w grudniu”, i przeróżne propozycje potraktowano jako iayliczną naiwność człowieka nicoswojonego — Józko najpierw na lekcjach matematyki napiętnował przewodniczącego Brandysa, a potem uzbierał trochę książek, broszur rolniczych i poszedł między ludzi wyjaśniając, jak to niektórzy odpowiedzialni towarzyście życie sobie ułatwiają. Sam jednego wieczora wybrał się na obchód PGR-owskich pól, sprowadził komisję ministerialną, która z niepokojem stwierdziła, że cała plantacja buraków cukrowych, 42 000 kilogramów, na zgorzel korzenia doszczętnie przegniła, a 8 ton kapusty anagierkiej wyborowej, 7 ton cebuli żytańskiej i 6 ton ogórków nantejskich z braku opieki i wody na polach zupełnie zmarniało.

Słowa agitatora wśród ludzi bezczynnych to rzecz mało bezpieczna. Natychmiast po rozejściu się wieści o różnych obchodach wieczorową porą, o wtrącaniu nosa w nieswoje sprawy, o telefonach po których różne komisje przyjeżdżały — Józko znalazł w szparze drzwi malutką karteczkę z ostrzeżeniem od żyłczych, by się uspokoił, a od kierownika Hawlickiego otrzymał ostrą reprimendę, że „wszystkim, tylko nie szkołą” się zajmuje. W miasteczku zaczęto rozpuszczać wieści, że nowy nauczyciel to stary piąteczna i rozparzenie, który Gminną Kasę Spółdzielczą na kilka tysięcy pożyczki naciągnął, a teraz nie zwraca, nasyłano nań egzektora, by meble w mieszkaniu zajął, pisano anonimy do różnych instancji, zaczęto ścigać przeróżne komisje na głowę. Raz nawet sam inspektor z kuratorium przyjechał i wziął Józskę na stronę: „Panie kolego, kiepskie wyniki w szkole”... Owa szkoła to był czarny, jednopiętrowy budynek, w którym na pierwszym piętrze mieszkali nauczyciele. Hawlicki jako kolega był pierwszorzędnym, nieraz w potrzebie pieniądze pożyczal, ale jako kierownik szkoły poglądy miał zbyt staroświeckie i przy tym siedział pod pantoflem swojej żony. Niechętnie patrzył na piłkę na składkowe herbatki „zakonczeniowe” dla uczniów, którzy opuszczali szkołę, nie pozwalając, bo ktoś może donieść do Pszczyzny, że nauczyciele uczniowskie ciastka „jedzą”. Stara Hawlicka miała na lekcjach idealny spokój, wszyscy koło niej na paluszkach chodzili. Wydało się jednak, że ona nie wychowuje, ale tresuje młodzież. Gdy ktoś coś przeszkodził czy głośno odezwał się, to albo leciał za drzwi, albo mocną porcją linii obrywał, a 14-letnie panny odbywały karę na kolanach. W młodszych — zwyciężając starej niemieckiej szkoły — do tablicy przystawiano i tak głową o kant kilka razy... Nie dziwne, że w takich warunkach dzieci przed kościołem się zbierały, rozgrywały różne „mecze”, a siostra katechetka przy tym tyle serca im okazywała...

Po wyjeździe inspektora przyjęto wobec Józki inny kurs. Na którymś zebrań podkreślono jego zasługi, uwydatniono szlachetne zamiary i w dowód wielkiego zaufania złożono nań 10 przeróżnych funkcji, bo on, taki kochany i rozzumny, dał sobie na pewno radę. Józko dopiero po pewnym czasie zorientował się w podstępie i zaczął błagać o pomoc, ale już było za późno. Inteligenci pawłowiccy za boki się brali: „widzicie, taki giero, a robi piątę!” i do powiatu zadzwonili. Towarzyście z komitetu pszczyńskiego brali się za głowę: po co ten Józko tyle godności i dostojenstw kumuluje? Albo dyktator albo polawiać perel, a może zamaskować wroga, który bierze tyle „dziedziny”, by wszędzie robotę rozłożyć... Nowy nauczyciel nie zwracał na to wszystko uwagi, ufny w zwycięstwo prawdy.

Zwycięstwo prawdy nie nadchodziło. Nie wiadomo dlaczego... Po kilku miesiącach tego fanatyzmu, bez snu i odpoczynku Józko poczuł, że jego energia zwolna słabnie, i zaczęły ogarniać go zwątpienia. Dlaczego kamień, który toczy do góry, wciąż spada do dołu? Jak trzeba przekonywać, że tylko po to to wszystko robi, żeby ludzicom byłożej czy? Pierwsze zetknięcie ze spółdzielcami rozczarowało go boleśnie: jego prośby, namowy, istne prelekacje z zakresu ekonomiki rolnej, socjalizmu i s'osowania racjonalnych metod plodozmianu odbijały się jak piłka od ściany. Robił wszystko co tylko mógł — bez widocznych rezultatów. Szczerze mówiąc, trudno nawet wymagać aby rozlatującą się spółdzielnię, uważaną od samego początku za dojną krowę, gdzie członkowie nie wychodzili do pracy, choć zboże na polach gnilo, podatków i „kontyngentów” nie oddawali, stale tylko „magazyn na czarną godzinę” szykując — mógł zreformować jeden człowieka, w dodatku oczerniany w opinii co inteligentniejszych chłopów jako pijak i „idjalista”, choćby, nie wiem z jakimi wnioskami występował.

Nieznacznie Józko poczuł, że głosi naukę bez nadziei, dla samego mówienia, że jest mu „wszystko jedno”... Kradną spółdzielcy pszenicę z własnych pól, coż począć — niech kradną, jeżeli im to smakuje. Mogą nawet zdychać z głodu, trudno...

Ale przecież nie ukołchał chimery, nie walczył o marzenie niebezpieczne. Tu z Pawłowic wziął żonę, tu ma dzieci, winien jest tej ziemi wiele, nie wolno mu opuścić rąk, prze-

cież nadejście odrobina pomocy. Józko uczył się tej myśli jako ostatniej deski ratunku. Nieraz już widział, jak bali się różni Kurtakowie i Brandysyowi takich instruktorów, którzy szli na wieś i przepytali ludzi. Ile się po takich wizytacjach zmieniło. Ale na jego wezwanie przyjechał instruktor, lecz innego rodzaju. Najpierw poszedł do gospody, prowadząc ze sobą jakąś ekspedientkę. W gospodzie obok wyszynku była nisza a dalej mały bezpieczny alkieryk zamykany — tam usiadł. Zadzwonił widelcem w talerz wzywając kelnera, potem poprosił o kilka wódek. Kiedy sobie podjadł i popił, zaczął kiwać malutkim paluszkami na ekspedientkę.

— Pani dziewczynko, nóżka w górę.

Struchlała ekspedientka spojrzała blagalinie i nie wiedziała co mówić.

— Już teraz, panie instruktorze? Już teraz?... i zaczęła głośno się opierać. Instruktor wpadł w szal. „Milcz, bo pójdziesz w odstawkę” — krzyczał na cały głos. Miejsцова socjeta siedząca przy kuflach piwa słuchała z rosnącym przerażeniem, a potem w popłochu zaczęła uciekać.

Pewnego pięknego poranku po tej wizytacji jasny uśmiešek, który stale błąkał się po twarzy nauczyciela

ma. A na kaganach w niedziele ksiądz Durczak rozumnie prawą konstytucję, o tym, że jest pełna swoboda w uprawianiu obrzędów i wszystkich praktyk religijnych. Historyę WKPi(b), a statut partii recytuje na pamięć — tak, że mało kto z pawłowickich działaczy w tej dziedzinie równać się z nim może; każdego rozłoży na argumenty. Miejscowi inteligenci tudzież wszyscy członkowie partii są nie wierzący ale praktykujący, chodzą do kościoła — ze względu na żonę i dzieci. A jeżeli cichaczem któreś niedziele chcą zorganizować zebranie partyjne, to tylko po sumie, bo inaczej nikt nie przyjdzie. Ostatnio ksiądz Durczak słuchając zdzienniał: żąda, aby na porannym apelu dzieciom na kolonach porządek dzienny nabożeństw ogłaszać...

Jakaś niecierpliwa złość ogarnęła Józka — nauczyciela, gdy patrzył na plebanię i słuchał oschłego jęku kościelnych dzwonów, a spokojnie odbierała mu nieokreślona obawa...

Miesiące upływały. Zarządzono z inicjatywy księdza plebana zgodę między Markitonem i spółką nauczyciela, gdy z przyjemnością skonstatowano zjawisko, że ten ostatni „korzystnie” się zmienił. An-

JANUSZ MATIASIAK

WYGNANIE AGITATORA

Reportaż ze Śląsku

odkąd przyjechał do Pawłowic — zgasił. Józko zamknął się w sublokatorskim pokoiku i wziął się na serio do budowy jednopiętrowej willi, myśląc tylko o sobie i swoich dzieciach. Coś tam jeszcze robił, na zebraniu partyjnym dwa razy o spółdzielni wspominał i — umilkł niezszczęsny.

O jakże był wtedy potrzebny! Niedaleko siedziby Prezydium, na niewielkim wzniesieniu stał kościół a tuż obok w okazałej plebanii mieszkał ksiądz Durczak, który takich ludzi jak Józko traktował ze szczególną uprzejmością. Dziwny to był ksiądz, zupełnie do swego poprzednika niepodobny. Fanatyk. Stary, kochane pocziwisko, piąteczna był, a kucharka — jeszcze większa. Kiedy się szło w pole a na plebanii stał ksiądz Fuks, to wystarczyło machnąć ręką i przesadzić plot.

— Księżo proboszczu, macie tam co...?

— Jo... I już ksiądz proboszcz biegł na pokoje, masę wspaniałych napojów alkoholowych wyciągał, a kucharka coś na zakąszenie przygotowywała. Biedak, zmarło mu się... Wtedy nastał nowy ksiądz i wszystkich zmieniło. Powiadają o nim, że gdy był jeszcze młodym księdzem, mocno w czasach przedwojennych, to w dzień św. Floriana, gdy na kaganie cała hutnica śmietanka, różni dyrektorowie i zagraniczni przedstawiciele u niego siedzieli, wygrał z ambony o wyszuku robotników, o skandalicznych bezpieczeństwie na wydziałach, o niskich płacach. Po kazaniu zapanowało oburzenie. Ksiądz Durczak nie dbał o to.

W czasie okupacji należało do tych śląskich księży, którzy mieli odwagę wołać, gdy Hitler kazał zdjąć krzyże: „pamiętajcie, wy pójdzicie, a krzyże te wróć”. Ludzie drżeli o niego w kościele, słuchanie takich rzeczy groziło więzieniem.

Więść niesie, że po wojnie był prokuratorem Kuril Biskupiej w Katowicach, potem za mocną domieszkę polityki na lekcjach religii posadę katechety w gimnazjum stracił. „Pan myśli” — powiedział ksiądz Durczak pewnemu dziennikarzowi pakując walizki — że wśród tej zgłupiałej miejskiej inteligencji, wśród tych bezbożników, którzy się od Boga odwracają, kościół może liczyć na kadre? Na pewno nie... Kościół wcześniej czy później zrozumie, że na Śląsk trzeba posłać najlepszych ludzi. Bo tylko ze Śląska, z ludu, wyjdzie nowa generacja działaczy katolickich, bezgranicznie oddana Bogu!” I przybył ksiądz Durczak do Pawłowic — działać wśród ludu.

Skrupulatnie dziś przestrzega wszystkich praktyk religijnych, w każdym niedziele osobno dla chłopców, osobno dla dziewcząt w wieku od 14 do 18 lat prowadzi dokształcanie z religii, w którym i miejscowi aktywiści ZMP biorą udział. Stale co organizuje. To procesje, to nieszpory, różne ojezdaszki, akty strzeliste, obchody w dni krzyżowe, albo żale doskonałe. I tak w kółeczko, po całych dniach w kościele ludzi trzy-

czą” patrzył w początkach umiarkowania z oczekiwaniem na pomoc. Wytlwał szukał tematyki wiejskiej a gdy na pierwszej stronie znajdował przemysł, na drugiej przemysł, na trzeciej i czwartej przemysł, zrezygnował z wymagań na rzecz artykułów oceniających tylko działalność kleru na wsi śląskiej i problem pozostałości niemieczyny na Śląsku — a gdy o tym nawet najmniejszej wzmianki nie znajdował, stracił do gazety wszelkie zaufanie. Na rozbrzmiewające po wstępiakach hasła nawołujące do „walki nieustającej na łacie leninowskiej formuły trójjedynę”, na nakazy „szukajcie tych, którzy błądzą” zapatyrywał się najpierw z goryczą i zalem, następnie z ostrożnością człowieka, którego życie nauczyło, że teoria i praktyka to dwie różne rzeczy, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z całkowitym lekceważeniem, a na końcu nie zapatyrywał się wcale, ponieważ „Trybuny Robotniczej” nie czytał w ogóle. Stare credo Józki zawędrowało na śmietnik, zaś zasada, do której sprowadzały się wszystkie myśli i czyny nauczyciela stało się: „Dawajcie spokój i wynośćcie się”...

Była to owa nirwana chronica

przynawał rację różnym matofkom, którzy rozkładają robotę, będzie tak jak oni uważał, że każde zdanie dla nich przykre jest fałszywe, każdy sąd przyjemny jest prawdziwy, a krytykę przyjeżdżających aktywistów powiatowych zbijać będzie jedynym argumentem: on jest wstydliwy, a więc nie ma racji. Gorycz zalewała mu serce. Co się stało, jakim sposobem zaszedł aż tak daleko, że wszystkich uczciwych ludzi traktuje jak bandę łobuzów, a potem chce przypinać im ordery, że igranie w tej chwili do lajdaków? O, on już nigdy nie da Pawłowicom chwili ośnienia, nie poniesie prawdy! Nikt nie będzie wzywał Józki — towarzysza, choćby nie wiem jak potrzebował pomocy. Sekretarz KP nie wspomni o nim na zebraniu i nigdy go za wzór nie postawi. Dlaczego tarza się w kupie gnoju, jakim sposobem tak daleko zaszedł? Gdzież jest Józko, gdzie twoja sława...

Przygnębiająca melancholia skorażarzeń i bezpłodne poznawanie granicy własnych sił przerwało nagłe stukanie do drzwi, które początkowo nieśmiało, stawało się coraz natarczywiej. Józko wypił szklankę zsiadłego mleka i wyszedł na dwór uspokoić natręta.

Mały bajtel, chłopak w króciutkich spodenkach, stał zaleknioty przytrzymując się ramy roweru i tylko oczy wytrzeszczał, nie śmiejąc wypowiedzieć słowa. Józko pamiętał go z pierwszej ławki w szóstej klasie.

— Czego? — zapytał nauczyciel.

— A to, panie Joško, Karol Brandys jeszcze wczoraj mnie tu przy-
syalali...

— Po co?

— A po pana Joškego, kajbyście poszli...

— Do kogo?

— Do spółdzielni... Leży tam choro-
ry i do roboty w pole od kilku dni nie wychodzi. Ja zaprowadzę. Karol Brandys szparcha kajbyście tak go zaagitowali...

— Pójdę zaraz!

Trochę żal mu się chłopaka zrobiło. Pod wpływem chłodnego wiatru reszka wina wywietrzała mu z głowy zupełnie. Począł szukać z nagłym ożywieniem marynarki i statutu spółdzielczego. Chłopak ani rusz nazwiska petenta przypomniać sobie nie mógł, tylko solennie obiecywał, że tam gdzie trzeba doprowadzi. Ściemniało.

Józko czuł się dobrze. Minawszy szosę, która tonęła w egipskich ciemnościach, zaczęli wydobywać się na otwartą przestrzeń. W oddali, słabo widzialne w godzinach wieczornej zarości, przeblisywały światła. Tu, pod osłoną lasu, stało kilkadziesiąt okazałych domostw z przybudowaniami. Zamieszkujący je gospodarze to byli „twardzi sztuki”. Wiosną szybko swoje pola oparrządzali i pożyczali konie każdemu kto się tylko zgłosił. Zgłaszało się średnio około 150 „goliców”, którzy żadnego sprzęgu nie mieli. Gleba w Pawłowicach była tak ciężka, że nawet najlepszy gniadosz sam w pojedynkę plugu uciągnąć nie mógł... Procent za te sąsiedzka przysługę gospodarze ci pobierali w postaci płodów naturalnych albo dwustu złotych za dniówkę od konia. Z tego pożyczali na „odsetki” pieniądze takim co po dwa hektary mają, regulowali podatek gruntowy, jeździli do Pszczyzny po mięso i wołowinę, i jakoś tak żyli narzekając że kontyngent za marne grosze oddają. Koń przekalkulowywał jedno w drugie. Koń był na wsi pszczyńskiej potęgą i uchronił od nędzy niejednego już członka spółdzielni. Józko znał te strony doskonale. Nieraz tym „grubszym”, odbierając szwarzark dla Prezydium, różne indeksy podatkowe i upomnienia na rowerze rozwoził, jako że we wszystkich płatnościach państwowych gospodarze ci byli bardzo hardzi i niezdyscyplinowani.

Dalej na północ nie rości, je-
no trochę olszy, wysokie osty i pokrzywy, same bagna i utopiska głębokie po szyć. Poza tę granicę niemiecka cywilizacja nigdy nie dotarła. Daleko tam majacy się jakieś ciemne plamy i tylko ludzie znający dobrze teren poznawali w cudacznie rozmazanych kształtach kilka rzędów malutkich jednopiętrowych domostw t.zw. parcelantów przykucniętych na czterech czy sześciu juczniach ziemi z reformy rolnej otrzymane. Niedaleko dym zapachniał. Zatrzymali się.

Chłopak pchnął drewnianą furtkę, wprowadził nauczyciela na podwórze, wsiadł na rower i znikł. Pogoda uspokoiła się zupełnie. Józko zobaczył jednopiętrowy domek, ubożuchny i zaniedbany. Cała góra świecila niepopieloną cegłą i ciemnym otlachaniem okien. Na podwórzu żadne zabudowania nie stały. Nie było ani stajni, ani kawałka stodoły dla schronienia obiciela czy zbroża po ukoszeniu, ani obórki, gdzie można by trochę gawiedzi, parę kaczek, małą krowkę albo konia umieścić. Nie poza malutkim czworobokiem ścian ze sterzącym kominem na tym podwórzu oprawnym w kilka szachetek nie było.

— Ależ tu Alojz Cieśla mieszka — zorientował się Józko z nagłym ożywieniem. Zbliżywszy się do drzwi nauczyciel zaczął stuknąć do nosa. Chwilę panowała cisza, potem ktoś podbiegł i zaczął głośno dopytwać: kto tam? Józko wymienił nazwisko, drzwi się uchyliły, jakaś kobieta w pospiechu dopinała bluzkę. Powstał mdły zapachem końskiego łajna...

(Dokończenie na str. 6)

Kremlowskie kuranty

(Dokończenie ze str. 1)

ZABIELIN: Nie wiem, kto taki?

DZIERŻYŃSKI: Aa.

ZABIELIN: Skąd mnie pan zna?

DZIERŻYŃSKI: W ramach obowiązku służbowego.

ZABIELIN: Ach tak... zapomniałem o tym.

DZIERŻYŃSKI: I skoro już w rządowi polecam, to pozwólcie udzielić wam rady. Jesteście teraz zbici z pantyfiku?

ZABIELIN: Całkowicie.

DZIERŻYŃSKI: Jesteście zdenerwowani. Powinności skupić się i zastanowić. Idźcie do domu, porównajcie o tym, co zaszło, a potem dajcie nam odpowiedź.

LENIN: Czy odpowiecie nam jutro?

ZABIELIN: Tak.

LENIN: Do widzenia.

(Zabielin kłania się i idzie w stronę drzwi).

DZIERŻYŃSKI: Zapomnieliście węzła.

ZABIELIN: Diabli go nadali!

LENIN: A łaźnia, łaźnia?... jeszcze zdążyć.

ZABIELIN: Nie, nie wybierałem się do łaźni. Wszyscy byli pewni, że mnie biorą do czekii... No i żona weknęła mi ten diabelski tobołek.

LENIN: Ach, więc tak! To — zupełnie co innego. Zaczekajcie! (Dzwoni na sekretarza.) Czasu mamy surowe. U was w domu teraz rozpacz i łzy. (Wchodzi SEKRETARZ.) Kaciek odwiedzić inżyniera Zabelina do domu samochodem... Jak najprędzej. (Zabielin i Sekretarz wychodzą). Setki i tysiące, i miliony siedzą u nas jeszcze z założonymi rękoma. Jaki tam z niego sabotazysta! Zdzićcał po prostu bez swojej roboty i wykoleił się. (Wchodzi SEKRETARZ.)

Słucham was!

SEKRETARZ: Przyszedł zegarmistrz... na wasze wezwanie.

LENIN: Wprowadźcie go tu.

SEKRETARZ: W tej chwili. (Wychodzi).

LENIN: Spać mi nie dają te kuranty... Milcz! Konieczność trzeba je puścić w ruch! (Wchodzi ZEGARMISTRZ.) Dobry wieczór, towarzyszu. Jesteście zegarmistrzem?

ZEGARMISTRZ (po chwili namysłu): Jestem majster-samotnik.

LENIN: Przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego — samotnik?

ZEGARMISTRZ: Teraz takich majstrów, jak ja mam przyjemność być, nazywa się urzędowo „majster-samotnik niezmotoryzowany”.

LENIN (zerkna na Stalina): Jak to — samotnik niezmotoryzowany?

STALIN: Zapewne ktoś majstra skrzywdził? Powiedźcie, kto wam zrobił krzywdę?

ZEGARMISTRZ: Ja wcale nie korzystam z okazji, żeby się osobliwie skarżyć towarzyszowi Leninowi. Ja się nigdy nie skarżę. Zaproszono mnie do roboty? To się bardzo ciesze.

DZIERŻYŃSKI (poufny tonem, z wesolym gestem): Poskarżcie się, poskarżcie śmiało.

LENIN: A ja zaraz poproszę o gorącą herbatę. (Dzwoni. Wchodzi SEKRETARZ.) Powiedźcie, żeby nam dano herbaty. (do Zegarmistrza). Ciężkie czasy? Głód, ruina, chaos? Męczycie się? Głodujecie?

ZEGARMISTRZ: Tak jak inni.

LENIN (pokazując na Stalina): A nasz towarzysz twierdzi, że was ktoś skrzywdził. Czy jest w blizdzie?

ZEGARMISTRZ (z akcentem rozpaczliwym): Ja zupełnie się nie spodziewałem takich pytań. Ja byłem szczęśliwy, że w ogóle ktoś sobie o mnie przypomniał. Przecież kiedyś, za przedwojennych czasów, to ja reperowałem zegarek hrabiemu Lwu Tolstojowi.

STALIN: Oho... to nie żarty: Tolstoj nie poszedłby do marnego majstra.

LENIN: A jaki był Tolstoj? O czym z wami rozmawiał?

ZEGARMISTRZ: Taki w butach z cholewami... Bardzo interesujący człowiek. Pan myśli, że te wszystkie jego portrety są coś warte? Ja teraz już słabo pamiętam, o czym on mówił. Lubił wciąż o coś pytać. Znał się na zegarkach.

DZIERŻYŃSKI: I na pewno dobrze płacił?

ZEGARMISTRZ: Skąd! Jako hrabia Tolstoj on miał u mnie duży rabat.

LENIN: Czy zdawał sobie z tego sprawę?

ZEGARMISTRZ: Mnie się zdaje, że nie.

STALIN: Więc co wam teraz dokuczyło? My też mamy słabość do pytań.

ZEGARMISTRZ: Nie liczyłem się z takim pytaniem i sam nie wiem co mówić. Ja oczywiście rozumiem, że „czas wyszedł z normy”, jak mawiał książę Hamlet.

LENIN: Być albo nie być?

ZEGARMISTRZ: Racja! Sto razy — racja! A mnie nie dają pracować.

DZIERŻYŃSKI: U nas istnieją spółdzielnie pracy... ale tam pewno marnie idzie robota.

ZEGARMISTRZ: Kazali mi tam pracować, to posłem i usiadłem od takiej roboty, której nikt nie mógł zrobić. To był zupełnie nieśmieszny angielski werk. Zegar bez marki. Ten majster, to go zrobił własnymi rękoma od a do zet... Co najmniej trzysta lat temu. Miesiąc nad tym śleczalem. To mi za to urządził zebranie ogólne i powiadzieli, że jestem darmozjad. A ja w odpowiedzi miałem nieostrożność przytoczyć im jedną bajkę Ezopa.

LENIN: Ezopa? Coście im przypomniał z Ezopa?

ZEGARMISTRZ: Ja im tylko opowiedziałem o tej lisicy, która robiła nachalne wymówki lwicy, że lwi-

ca rodzi tylko jedno male. A lwica jej na to powiedziała: „Za to to małe to jest lew!” Ezop opowiada — chodzi nie o ilość, tylko o jakość.

LENIN: No i co wam oni na to powiedzieli?

ZEGARMISTRZ: Prezes spółdzielni powiedział, że Ezop to kontrrewolucjonista i agent Ententy, i że ja jestem agentem Ezopa. I mnie stamtąd wyrzucili.

STALIN (kryjąc uśmiech): Jako agenta Ezopa?

(Lenin pochyla się nad stołem i zaczyna się śmiać. Śmieje się Dzierżyński, śmieje się Stalin, śmieje się sam Zegarmistrz).

LENIN: Wybacmy im, że nie znają baśni Ezopa. Przy tym nie bardzo teraz mają głowę do muzealnych zegarków. To wszystko, jak powiada Tolstoj, ukształtuje się z czasem. A ja mam dla was zamówienie.

ZEGARMISTRZ: Momencik. (Otwiera swój sakwojask, pośpiesznie zakłada na oko zegarmistrzowską lupę). Już jestem gotów.

LENIN: Tu, uważacie, wasze instrumenty nie bardzo się nadadzą?

ZEGARMISTRZ: Moje instrumenty?

STALIN: Potrzebne wam będą narzędzia innych rozmiarów...

DZIERŻYŃSKI: Ten werk ma na moje oko całe pudry, setki pudów wagi.

LENIN: Trzeba będzie zreperować kremlowskie kuranty.

ZEGARMISTRZ: Zegar kremlowski? Ten na wieży?

LENIN: Podejmiecie się?

ZEGARMISTRZ (zdejmuje lupę): Człowiek to zrobić, człowiek to popuścić, to człowiek może naprawić.

LENIN: Ale kiedy ludzie ten zegar zakładali, nie było jeszcze pićsi „Międzynarodówka”. Teraz powinniśmy zmusić te kuranty do grania „Międzynarodówki”.

ZEGARMISTRZ: Spróbujemy.

LENIN: Bierzcie się do tej roboty już od jutra.

ZEGARMISTRZ: Ja lepiej zaraz tam pójde. Ja teraz nie mogę myśleć o byle czym. Bardzo przepraszam, ale ja w ogóle o niczym nie mogę myśleć.

LENIN: Dobrze. A warunki uzgodnijcie z komendantem Kremla.

ZEGARMISTRZ: Jakże mogą być warunki? Ja jestem pierwszy taki zegarmistrz na świecie, który będzie uczył kremlowskie kuranty grać „Międzynarodówkę”!

LENIN: Ale przydział żywności wam nie zaszkodzi?

ZEGARMISTRZ: No chyba, przydział mi na pewno nie zaszkodzi. To ja już idę na wieżę, jeżeli w ogóle można.

(Wychodzi).

LENIN: I znów coś ruszyło z miejsca. Jestem pewien, że kuranty zagrają. (Patrzy na zegarek. E, drodzy towarzysze, pora zacząć posiedzenie Rady Pracy i Obrony...

Mikołaj Pogodin

Tłumaczył Jerzy Pomianowski

ZA GRANICĄ

POLSKIE SZUKI NA SŁOWACKICH CZĘŚCIACH I SŁOWACKICH W 1955 ROKU. Od początku br. 18 naszych teatrów grało już 14 sztuk polskich klasyków i autorów współczesnych. Były to sztuki A. Fredry, G. Zapolskiej, J. Słowackiego, M. Bałuckiego, L. Kruczkowskiego, J. Lutowskiego, Z. Skowrońskiego i J. Słowackiego, J. Juranowa, K. Kruczkowskiego, J. Grabowskiego, Z. G. G. Zdany i in. (Notatka z „Literarnich novín”). (a)

* FUCZIK W ZWIĄZKU RADZIECKIM — to temat wspomniany idy Radwolin w „miesięczniku „Nowy wiek”. Radwolin pisze o powrocie Fuczika w Moskwę w r. 1934, kiedy to po powrocie z „Reportażu spod szubienicy” przyjechał do Związku Radzieckiego jako korespondent „Rubeo prava”. Uważał za swój obowiązek mówić czytelnikom w Czechosłowacji o życiu radzieckim, takim, z jakim stykał się na każdym kroku. „Obawiam się jednak — pisze I. Radwolin — że może przesadnym entuzjazmem wzbudzić w czytelnikach wręcz odwrotne uczucia. Nie chciałem „przekredkować” (chciał Fuczika). Czując się w Związku Radzieckim jak we własnej ojczyźnie Fuczik odmówił przyjęcia korespondentem zagranicznym. Lekceważąc ludzi, którzy jak dobrze wychowani goście uważali, że muszą wszystko wychwalać, nie zgodził się z przesadnym zachwiałem, przyciśniętym o tym, co mu się nie podobało: krytykował np. architekturę hotelu Moskwa, nie zgodził się z przesadnym wychwalaniem filmu „Legitymacja partyjna” itd. (a)

* LITERATURA O HITLERZE jest w dalszym ciągu obiektem żywej uwagi zachodnich czasopism literackich. Sprawozdawca „Saturday Review” oznajmił ostatnio o ukazaniu się nowej książki, którą napisał Louis B. Loehner. Książka nosi tytuł „Dowody i twierdzenia” (The Evidence and the Case against Hitler). Odebrał od Hitlera do Adenauera. Oto uwagi sprawa-

wodawcy: „Autor utrzu-

ma, że wprowadzanie tyran był zły, ale za to wykonawcami jego rozkazów byli doordzy chłopcy, grzeszący rzadko i to raczej biernością czy uległością. Autor, który pozostawał przez 14 lat szefem berlińskiej filii Associated Press, idzie dalej i próbuje oczyścić zbrodniczych współpraco-

owników Hitlera od zarzutów przygotowywania wojny i wykorzystywania niewolniczej pracy. Opiera się przy tym na licznych rozmowach z przymysłowcami niemieckimi z 1945 roku i lekceważą dowody zebrane w licznych procesach przestępców wojennych. Bo wtedy — cytuję z ironią sprawozdawcy — „Saturday Review” — niekiedy z tych młodych amerykańskich sędziów byli trochę lewicowo, różowawi i jeszcze gorzej”, ich świadectwo zasługę na zaufanie w mniejszym znaczeniu stopni, niż oświadczenia polityczne prawdomównych Kruppów... Niemcy nie byli kolektywnie niewinni, jak chce ten autor, lecz też nie powinniśmy robić nic, co by sprzyjało zapomnieniu, rozpowszechnianiu się w dzisiejszych Niemczech — konczy sprawozdawca — „Saturday Review”.

* INNYE sprawozdania, recenzent The Times Literary Supplement omawia angielskie wydanie książki sławnego fotografa reżimu H. Hoffmanna. Plisze przy tej okazji: „W swojej gorliwości hitlerowcy wybierali Hitlera, zaprzeczając sobie wzajemnie. Hoffmann dostarcza nam nowych intymnych szczegółów z życia swego bieżącego. Książka jest podstępna sferą z wielu powodów. Wskazuje na niebezpieczną ideologię, że Hitler był mitym, dobrodusznym człowiekiem, może trochę gwałtownym, ale naprawdę kochającym dzieł. Niestety, był wyjątkowo w błędach przez zły, kłamliwych doradców, szczególnie przez Bormanna i nie miał biadaćzysko pojęcia o tym, co wyprawia jego talna polityka. A jednak, co do chłoniwie stosunki z kobietami i gustowanie w dziewczynkach — p. Hoff-

mann tylko potwierdza to, co i tak jest publiczną tajemnicą...”

* THE TIMES Literary Supplement omawia również wydany w Cambridge University Press w Londynie i w University of Chicago w Stanach Zjednoczonych książkę Milтона Mayera pt. „Mysli, że są wolne. Niemcy 1933-1945”. Autor usiłuje tu wytłumaczyć, co myśli „die kleinen Leute”, mali obywateli Rzeszy o Hitlerze i hitleryzmie. Zeby osiągnąć ten cel, autor przenosi się nawet na kilka lat do małego miasteczka, które symbolicznie nazywa Kronenberg. Jego świadectwo jest dość wierne, ale nie wzbogacające specjalnie tych, którzy znają Niemców i już się niejednokrotnie z tymi problemami spotykali. Mimo to — czytamy w recenzji — książka jest bardzo interesująca i niejednokrotnie o poważnych i nieuniknionych wnioskach, jakie nasuwa. Autor widzi jasno jaką farsą była reedukacja ze swymi dwoma sprzymiennikami: pierwszą demokratyzującą i antymilitarystyczną i drugą nawiązującą do krucjaty antykomunistycznej i renilitaryzacji”. (a)

* WYSTAWA KSIĄŻKI AMERYKANSKIEJ została otwarta ostatnio w Bibliotece im. Salkyowa-Szece-

driana w Leningradzie. Na wystawie znajdują się między innymi pierwsze wydania słynnych powieści Jamesa Fenimora Coopera, pierwsze wydania nowel Edgara Allana Poea i poematów Walta Whitmana oraz rzadkie egzemplarze „Hiawathy” Longfellowa. Wśród najnowszych wydań widnieją egzemplarze książek Ernesta Hemingwaya, Williama Faulknera, Johna G. Barda, Alberta Malta i in. (a)

* WILLIAM FAULKNER, przynajmniej ostatnio po Włoszech, odpowiadał na pytanie dziennikarzy interesujących się jego bieżącą pracą pisarską, że w chwili obecnej nie pisze, że doszedł bowiem do wieku, w którym można pracować tylko przy złej pogodzie. Faulkner ma 37 lat. (a)

* portrety dostojników, stół przykryty czerwonym sukmem, sędziowie, milicja, tłum i wreszcie oskarżeni.

Stoję na ławce w tłumie ciekawych, zapatrzona i zasluchana w ten pierwszy sąd. Twarze „przestępców” wcale nie przestępcze. Takich samych wśród widzów setki.

Zarzutów wiele, ale najczęstszy to pijaństwo. Dowody, puste flaszki pod pryczami, mówią, niestety, więcej aniżeli świadkowie. Sad oskarża, świadkowie bronią, zwyczajny przewód sądowy. I zwyczajne chłopskie twarze, pocziwie niebieskie oczy wyglądają spod strzechy płowej czuprynny spadającej na czoło. Na ustach często uśmiech, ale jakiś pokorny i jakby tłumaczący wobec „wysokiego sądu”.

Oskarżony przyszedł do pracy w stanie lekkiego zamroczenia alkoholem, a właściwie to nawet i nie to. Świadkowie zgodnie przysięgają, że tylko trochę od niego „jechało”.

Był poza tym zupełnie trzeźwy i zaraz zabrał się żywo do pracy. Majster może przyswiedzieć. I rzeczywiście majster przyswiedza. Wreszcie zabiera głos sam oskarżony.

— Panie sędzio, niech Boga nie mam przy skonanui, jak kłamię. Buduję już wysoko... trzecie piętro. Ranki zimne, w baraku zepsuł się piec, człowiek kostnieje całą noc od zimna. Jakże to rano iść do roboty taki przemarznięty? Wypilem tylko jednego na rozgrzewkę, żeby robota lepiej szła. A pan sędzio to z prze-

proszaniem nie gównaj sobie jednego w takich warunkach?

Nie pamiętam już jaki wyrok wydał wówczas „wysoki sąd” na tego przestępcę i na wielu innych.

— Na tych wszystkich, co nie umieli kulturalnie spędzać wieczorów, na tych co w stosunku do kobiet używali „słów wulgarnych” a po wyroku powtarzali z beczarnym zdumieniem: „Za co? Za co? Jakżem do tej szelmy miał mówić, żeby mnie zrozumiała. Czy może po francusku?”

Ani na tych co pili wódkę już od rana w zimnych barakach, co suszyli mokre okuce na ledwo ciepłych rurach prowizorycznych piecyków, co nie chcieli słuchać o Kołtaju i o „cudach w kropli wody” na tych, dla których jedyna rozrywką był odpust w „Mogiele”, co dziś jeszcze czuli się lepiej za blazanym szynkwasem u „Cywy”, w popularnej karczmie na Wierzyście, aniżeli w eleganckiej „Europie” wybudowanej naprzeciw a świecącej dziś jeszcze beznadziejną pustką.

Jakże osądzić tych, co żądali w pierwszym bibliotece publicznej Ży-

wotów Świętych, „Tredowatej” i „Romansu Teresy Hennert”, „Bo tam jest chwała mowa o miłości”...

Jakże sądzić te dziewczęta, które wprawdzie nie stoją już w Krakowie pod pomnikiem Mickiewicza w oczekiwaniu, że zgodzą się „do wszystkiego”, ale które wobec bardzo szeroko otwartych drzwi na świat nie bardzo wiedzą co robić z tym nadmiarem swobody, czest-

stwego zdrowia i normalnych instyktów?

To nie taki prosty problem i wiele jeszcze będzie wypowiedzianych na ten temat słów i napisanych artykułów. Może nawet im więcej, tym lepiej.

Zofia Kulnowska

Kraków

Lawina chwały

(Dokończenie ze str. 2)

pięćnaście laty to — cały wiek. Nawet ci sami ludzie co ją zamieszkuja, to już naprawdę dziś „nowi” ludzie.

A my nie pomniejszamy tamtych dawnych tym, że napiszemy o nich prawdę. Tak jak nie potępimy dziecka, ani nie ukarujemy go zbyt surowo, jeśli w nieświadomości swojej popełni błąd.

A propos karania, jeszcze jedno wspomnienie. Ostatnie. Jesteśmy na sali, w której za chwilę odbędzie się pierwszy sąd pokazowy w Nowej Hucie. Chwila nieomal historyczna; a w każdym razie osobliwa. Ta sama świetlica, tylko ubrana uroczysto w czerwone szlanki, a

portrety dostojników, stół przykryty czerwonym sukmem, sędziowie, milicja, tłum i wreszcie oskarżeni.

Stoję na ławce w tłumie ciekawych, zapatrzona i zasluchana w ten pierwszy sąd. Twarze „przestępców” wcale nie przestępcze. Takich samych wśród widzów setki.

Zarzutów wiele, ale najczęstszy to pijaństwo. Dowody, puste flaszki pod pryczami, mówią, niestety, więcej aniżeli świadkowie. Sad oskarża, świadkowie bronią, zwyczajny przewód sądowy. I zwyczajne chłopskie twarze, pocziwie niebieskie oczy wyglądają spod strzechy płowej czuprynny spadającej na czoło. Na ustach często uśmiech, ale jakiś pokorny i jakby tłumaczący wobec „wysokiego sądu”.

Oskarżony przyszedł do pracy w stanie lekkiego zamroczenia alkoholem, a właściwie to nawet i nie to. Świadkowie zgodnie przysięgają, że tylko trochę od niego „jechało”.

Był poza tym zupełnie trzeźwy i zaraz zabrał się żywo do pracy. Majster może przyswiedzieć. I rzeczywiście majster przyswiedza. Wreszcie zabiera głos sam oskarżony.

— Panie sędzio, niech Boga nie mam przy skonanui, jak kłamię. Buduję już wysoko... trzecie piętro. Ranki zimne, w baraku zepsuł się piec, człowiek kostnieje całą noc od zimna. Jakże to rano iść do roboty taki przemarznięty? Wypilem tylko jednego na rozgrzewkę, żeby robota lepiej szła. A pan sędzio to z prze-

proszaniem nie gównaj sobie jednego w takich warunkach?

Nie pamiętam już jaki wyrok wydał wówczas „wysoki sąd” na tego przestępcę i na wielu innych.

— Na tych wszystkich, co nie umieli kulturalnie spędzać wieczorów, na tych co w stosunku do kobiet używali „słów wulgarnych” a po wyroku powtarzali z beczarnym zdumieniem: „Za co? Za co? Jakżem do tej szelmy miał mówić, żeby mnie zrozumiała. Czy może po francusku?”

Ani na tych co pili wódkę już od rana w zimnych barakach, co suszyli mokre okuce na ledwo ciepłych rurach prowizorycznych piecyków, co nie chcieli słuchać o Kołtaju i o „cudach w kropli wody” na tych, dla których jedyna rozrywką był odpust w „Mogiele”, co dziś jeszcze czuli się lepiej za blazanym szynkwasem u „Cywy”, w popularnej karczmie na Wierzyście, aniżeli w eleganckiej „Europie” wybudowanej naprzeciw a świecącej dziś jeszcze beznadziejną pustką.

Jakże osądzić tych, co żądali w pierwszym bibliotece publicznej Ży-

wotów Świętych, „Tredowatej” i „Romansu Teresy Hennert”, „Bo tam jest chwała mowa o miłości”...

Jakże sądzić te dziewczęta, które wprawdzie nie stoją już w Krakowie pod pomnikiem Mickiewicza w oczekiwaniu, że zgodzą się „do wszystkiego”, ale które wobec bardzo szeroko otwartych drzwi na świat nie bardzo wiedzą co robić z tym nadmiarem swobody, czest-

stwego zdrowia i normalnych instyktów?

To nie taki prosty problem i wiele jeszcze będzie wypowiedzianych na ten temat słów i napisanych artykułów. Może nawet im więcej, tym lepiej.

Zofia Kulnowska

Kraków

Złota róża

(Dokończenie ze str. 3)

Napisałem opowiadanie od nowa. Sam się dziwiłem, jak nie pasują do niego wyszukane, piękne słowa. Temat wymagał prawdy i prostoty. Na przykładzie swego pierwszego opowiadania zrozumiałem potęgę prostoty.

Większość pisarzy przez całe życie walczy ze sobą o prostotę prozy. Prostota nie udaje się od razu. Znacznie łatwiej jest pisać ozdobną, kwiecistą prozą niż utrzymywać ją w szrankach surowej narracji.

Prostota wymaga jasności myśli i czystości rysunku. Pisarz, który nie posiada tych cech, nie osiągnie nigdy kryształicznej prostoty — tego szczytu kunsztu pisarskiego.

Kiedy złożyłem swoje pierwsze opowiadanie w redakcji pisma, które poprzednio zamieszczało moje wiersze, redaktor powiedział:

— Na próżno się pan trudzi, młodzieńcze. Tego opowiadania nie możemy wydrukować. Zalehby nam sadła za skórę z powodu tego naczelnika policji. A w ogóle to solidna robota. Niech pan przy-

niesie coś innego. Ale podpisywać powinien pan swoje utwory pseudonimem. Pan jest przecież jeszcze w gimnazjum. Za taką rzecz wyleją pana z budy.

Zabrałem opowiadanie i schowałem. Dopiero następnego wiosny wydobyłem je z szuflady, przeczytałem i zrozumiałem jeszcze jedno: w opowiadaniu nie czuło się autora — ani jego gniewu, ani myśli, ani czei dla miłości Chrysti.

Raz jeszcze przerobiłem opowiadanie i znowu zaniósłem je redaktorowi — nie po to, by je wydrukował, lecz dla oceny.

Redaktor przeczytał je w mojej obecności, wstał, poklepał mnie po ramieniu i powiedział tylko jedno słowo:

— Winszuję!

Tak więc po raz pierwszy przekonałem się, że pisarz powinien w każdym utworze, nawet w takim maleńkim opowiadaniu, dać jak najwięcej z siebie, a co za tym idzie, dać najpełniejszy wyraz uczuć i myśli swego czasu i swego narodu. Nic nie powinno hamować pisarza w tym bojnym szafowaniu sobą.

W czasie pracy trzeba zapomnieć o wszystkim i pisać tak, jakby się pisało dla samego siebie, albo dla najdroższej w świecie istoty.

Konstanty Paustowski

Przełożyła Wanda Jedlika

Kaciek gaffologa

Mity i womity

I.

Ludzie nie chcą mitów

(Z redakcyjnego podsumowania dyskusji w Nowej Hucie. Życie Literackie nr 197).

Z wielkim taktem i godną podziwu koleżeńską lojalnością rozpoczęło krakowskie „Życie Literackie” (nr 197) dyskusję w Nowej Hucie nad „Poematem dla dorosłych” Wazyka. Ludwik Flaszen w tymże numerze z godnym naprawdę podziwu samozaparciem dokonał trudnej sztuki myślenia o Trzech Regulach Poprawnego Womitowania. Herdegen zaś jeździe wprowadzić tylko do Opola, ale po to, aby tam odkryć demona Kozickiego z Warszawy i jego zły wpływ na rzeczywistość, natomiast rozkazowny w swej skromności Maciąg prosi o łaskę dla swej małej duszyczki w quasi — prywatnym liście do Andrzeja Wasilewskiego Numer więc — trzeba przyznać — świetnie zredagowany i żeby nikt nie miał najmniejszych złudzeń co do jego istoty, redakcja dyskusję nad „Poematem” opatrzyła uymowanym tytułem „Tu mówi „Kaciek” (krakowska). Tytuł, który służy za motto sprawcom poruszonemu przez organ krakowskiego Oddziału ZLP.

Trzeba się uważnie wsłuchać w dyskusję, a raczej zająć jej ochłapami podanymi w sposób specyficzny przez pismo, aby zrozumieć o co właściwie chodzi. Mówi młody budowniczy Huty: „Ja znam tu publikę, pracuję tu 4 lata, publika i n n y c h m i a s t m u z e się schować wobec publiki Nowej Huty”. Mówi również młody człowiek „Takich bażantów jak w W a r s z a w i e czy Łodzi, w Hucie nie ma”. Inny z tych młodych ludzi, zabierając głos w dyskusji stwierdza, że „Wazyk napisał o robotnicach, o małych ludziach, czemu jednak nie napisał o t y c h w i e l k i c h, którzy utrudniają rozwój kulturalny Nowej Huty?” Pracownik naukowy Akademii Górniczo-Hutniczej już nie owija tych spraw w bawełnę, lecz wygarnia uprost: „Poemat nie atakuje Nowej Huty, lecz t y c h w W a r s z a w i e, którzy są odpowiedzialni za nią za to, co się dzieje” Darujcie zestawienie tendencyjne tych cytatów, ale niesposób sobie tego odmówić, tym więcej, że ta racjonalizacja odpowiedzialności n odległość jest czymś nowym i wynika z niej po prostu, że Nowa Huta wcale nie leży pod Krakowem lecz niedaleko Warszawy.

Patriotyzm lokalny jest zawsze godny oparcia, tym bardziej patriotyzm nowohutniczan. Ale zastanawia owo bicie się w cudze pierś, przynajmniej w tych fragmentach, jakie podało „Życie”. Zadziwiający jest także fakt, że ta racjonalizacja odpowiedzialności n odległość jest czymś nowym i wynika z niej po prostu, że Nowa Huta wcale nie leży pod Krakowem lecz niedaleko Warszawy.

Patriotyzm lokalny jest zawsze godny oparcia, tym bardziej patriotyzm nowohutniczan. Ale zastanawia owo bicie się w cudze pierś, przynajmniej w tych fragmentach, jakie podało „Życie”. Zadziwiający jest także fakt, że ta racjonalizacja odpowiedzialności n odległość jest czymś nowym i wynika z niej po prostu, że Nowa Huta wcale nie leży pod Krakowem lecz niedaleko Warszawy.

Patriotyzm lokalny jest zawsze godny oparcia, tym bardziej patriotyzm nowohutniczan. Ale zastanawia owo bicie się w cudze pierś, przynajmniej w tych fragmentach, jakie podało „Życie”. Zadziwiający jest także fakt, że ta racjonalizacja odpowiedzialności n odległość jest czymś nowym i wynika z niej po prostu, że Nowa Huta wcale nie leży pod Krakowem lecz niedaleko Warszawy.

Patriotyzm lokalny jest zawsze godny oparcia, tym bardziej patriotyzm nowohutniczan. Ale zastanawia owo bicie się w cudze pierś, przynajmniej w tych fragmentach, jakie podało „Życie”. Zadziwiający jest także fakt, że ta racjonalizacja odpowiedzialności n odległość jest czymś nowym i wynika z niej po prostu, że Nowa Huta wcale nie leży pod Krakowem lecz niedaleko Warszawy.

Patriotyzm lokalny jest zawsze godny oparcia, tym bardziej patriotyzm nowohutniczan. Ale zastanawia owo bicie się w cudze pierś, przynajmniej w tych fragmentach, jakie podało „Życie”. Zadziwiający jest także fakt, że ta racjonalizacja odpowiedzialności n odległość jest czymś nowym i wynika z niej po prostu, że Nowa Huta wcale nie leży pod Krakowem lecz niedaleko Warszawy.

Patriotyzm lokalny jest zawsze godny oparcia, tym bardziej patriotyzm nowohut

